Nr. 179. Lwów — Wtorek dnia 8 Sierpnia. Rok 1905.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 5 po południu z datą dnia następnego.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi: w kraju i Austryi miesięcz. 2 k. 20 h. w Niemczech . . . 3 „ — „ w innych Państwach . . 4 „ — „ Za zmianę adresu dopłaca się 40 „ Opłatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu. Prenumerata we Lwowie miesięcznie 2 k. Numer kosztuje we Lwowie . . 8 h. na prowincyi . . . 12 h. Numera z poprzednich dni po 20 h.

Wszelkie DONIESIENIA PRYWATNE o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, opisy uczt i zabaw prywatnych, reklamy dla balów, odczytów i koncertów, spisy składek, doniesienia o zgubach, znalezionych przedmiotach i t. d. po 1 k. od wiersza.

PRZEGLĄD

polityczny, społeczny i literacki.

OGŁOSZENIA I PRZEDPŁATĘ MIEJSCOWĄ przyjmuje wyłącznie: Ajencya dzienników Sokołowskiego we Lwowie Pasaż Hausmana l. 9. Ceny ogłoszeń: Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy: wiersz petitowy albo jego miejsce 20 h. W drobnych ogłoszeniach: tłustym petitem za każde słowo 4 h. tłustym garmondem „ „ 6 h. koresp prywatne „ „ 8 h. Nadesłane na trzeciej stronicy: Ogłoszenia wiersz petitowy albo jego miejsce . . . . . 60 h. Reklamy po kronice wiersz petit. 1 k. Ogłoszenia na czele numeru na pierwszej stronicy wiersz petitowy . . . . 60 h.

Dziś: | św. Cyryaka W. | Hermolausza. Jutro: | św. Romana i Sek. | Pantalejmona

Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, ul. Sykstuska l. 45. | Naczelny Redaktor i Wydawca: Ludwik Masłowski. | Rękopisów Redakcya nie zwraca. | Wschód słońca o godz. 4 m. 52, Zachód „ „ 7 m. 18 | Długość dnia godzin 14 m. 26, Ubyło dnia od wczoraj 4 m.

Z widowni wojny.

Kapitulacyą resztek rosyjskiej załogi zakończyła się wojna na Sachalinie. Trwała ona tylko 24 dni. Eskardra japońska, złożona z dwóch pancerników, siedmiu krążowników, trzech kanonierek, 36-ciu torpedowców i dziesięciu okrętów z wojskiem lądowem, pojawiła się pod dowództwem admirała Kataoka dnia 7 lipca w zatoce Aniwa. Krążyła od świtu do południa przy samym brzegu, przeszukując dno morskie, ażali ono nie jest zagrodzone minami. Tu się odrazu pokazało, że Rosyanie wcale się nie przygotowywali do obrony wyspy: na dnie morskiem nie było ani jednej miny, a w forcie Korsakowsk znajdowało się tylko ośm armat polowych. Stały one w kazamacie, zwróconej na morze. Od strony lądu nie było żadnej armaty i nie było dla niej miejsca, ponieważ tam ciągnął się tylko zwykły więzienny mur. Zbadawszy to wszystko, Japończycy wylądowali o milę od Korsakowska i natychmiast poszli najpierw na fort, a potem na miasto. Rosyanie podpalili swe drewniane domy i uciekli do lasu. Dopiero gdy pożar się zmniejszył, Japończycy zajęli warownię, przyczem było trochę pukaniny. Z rana 8 go lipca zatknięto na warowni japońską chorągiew. Dn. 10 go lipca bez wystrzału obsadzili Japończycy mały fort, otaczający latarnię morską w Notoro. Rosyjski oddział cofnął się stąd w głąb wyspy. Punktem koncentracyi wszystkich rosyjskich oddziałów, jakie się znajdowały w południowej części Sachalinu, była Władimirówka, o 22 wiorsty na północ od Korsakowska. Tu zebrało się ich mniej więcej 7 tysięcy. Japończycy wyruszyli przeciwko nim z dwóch stron: wojsko wysadzone na ląd poszło od Korsakowska, a okręty odpłynęły na ocean Spokojny, stamtąd dostały się do zatoki Cierpienia i tam w porcie Najbuszy wysadziły na ląd oddział, który pomaszerował na Władimirówkę, ale wręcz z przeciwnej strony. Japończykom szło o to, aby Rosyanie, zaatakowani pod Władimirówką, nie mogli się cofnąć jeszcze dalej w głąb wyspy. Rzeczywiście też, po potyczce 12 lipca Rosyanie spostrzegli, że mają tyły odcięte, więc się rozproszyli i po kilku dniach wszyscy się poddali. Tak okupacya południowej części Sachalinu była dokonana. Lecz tymczasem inne rosyjskie oddziały, złożone z kozaków, dozorców więzień i katorżników, którym za zgłoszenie się do walki darowano karę, poczęły się gromadzić w środkowej części wyspy, nieopodal stolicy tego kraju Aleksandrowska. Do tego miasta z Korsakowska jest lądową drogą 400 kilometrów. Japończycy obliczyli, że zamiast maszerować tą drogą najmniej cztery tygodnie, wygodniej im siąść na okręty, wpłynąć do cieśniny Tatarskiej, która oddziela Sachalin od lądu azyatyckiego, i tam w zatoce Dui znowu wylądować. Zrobili to 23 lipca i zaraz starli się z Rosyanami, którymi dowodził wojenny gubernator wyspy, jen. Lapunow. Oczywiście improwizowane wojsko rosyjskie nie mogło wygrać bitwy. Na samym jej początku czmychnęła brygada katorżników do Derbińska, skąd jednak wkrótce rozbiegła się po lasach. Reszta wojsk rosyjskich pod komendą Lapunowa cofnęła się do Rykowska. Japończycy, zająwszy Aleksandrowsk, przedewszystkiem odcięli wszystkie możliwe dowozy z Syberyi i w tym celu na jej brzegu zajęli port Dekastri, co się stało 27 lipca, poczem dopiero rozpoczęli marsz na Rykowsk, mając już wszelką pewność, że nikt im z tyłu nie zajdzie. Do bitwy nie przyszło, ponieważ 31 lipca jenerał Lapunow, pozbawiony żywności, ambulansów, służby obozowej, kapitulował, oddając się do niewoli razem z 70 ciu oficerami 3200 żołnierzami. Ponieważ na tę liczbę żołnierzy powinno być najwięcej 45 oficerów, przeto reszta ich zapewne dowodziła katorżnikami, dopóki oni się nie rozbiegli.

Tak się skończyła wojna na Sachalinie *Daily Telegraph*, a za nim wiele innych dzienników donosi, że zaprowadziwszy na tej wyspie administracyę cywilną, Japończycy ściągnęli stamtąd wszystkie swe wojska, dodali jeszcze sporo innych, tak utworzyli korpus 30-tysięczny, posiadający 72 dział, i całą tę siłę wysadzili na brzeg syberyjski w Dekastri i w Nikołajewsku, gdzie Amur wpada do morza. Jesteśmy pewni, że w rzeczywistości nic podobnego nie zaszło. Przeciwko garstce rosyjskich objeżczyków nie wysyła się 30-tu tysięcy, a maszerować stamtąd na Władywostok, odległy o 780 kilometrów, po kraju bezdrożnym, który za dwa miesiące będzie zawiany śniegiem, a do którego przez morze nie będzie dostępu, bo ono pokryje się lodem, byłoby niedorzecznością, dziwaczną fantazyą, której z pewnością nie popełnili tacy dobrzy rachmistrze jak Japończycy. Może wysadzili tam parę tysięcy żołnierzy wyłącznie po to, aby oni udali się na dżonkach Amurem do Chabarowska i tam zniszczyli kolej do Władywostoku, poczem zaraz się cofną na okręty. Nic więcej tam być nie mogło.

Pod Władywostokiem i nad rzeką graniczną Tumen zaczęły się ulewne deszcze, więc chociaż tam nieprzyjaciele stoją oko w oko, to jednak wszelkie ruchy ustały.

Sierpniowy peryod deszczowy zwykle się zaczyna w okolicy nadmorskiej, a potem się rozszerza na zachód. Niebawem tedy zacznie się on w Mandżuryi i unieruchomi tam na pozycyach obie nieprzyjacielskie armie. Rosyanie zapewniają teraz, że dla nich peryod deszczowy będzie znakomitym sprzymierzeńcem, bo oni wcale nie myślą przed zimą atakować Japończyków, jak też nie myślą o pokoju z nimi. Pod Liniewiczem znajduje się teraz wrzekomo 600.000 żołnierzy, zaopatrzonych we wszystko, a ulokowanych wybornie w suchych kazamatach szańców tak silnych, tak się wzajemnie broniących, że jest to jakby jedna kolosalna twierdza, o którą Japończycy albo łby sobie rozbiją, albo się znużą oczekiwaniem boju. W każdym razie, zdaniem Rosyan, domagających się teraz dalszej wojny — a domagają się oni tego tak natarczywie, jak gdyby taki dano im rozkaz — czas japońskich zwycięstw i powodzeń już minął, a zacznie się niebawem czas wspaniałych zwycięstw rosyjskich, bo car postanowił toczyć wojnę choćby jeszcze dwa lata, a przerzucić z Europy całą armię, na co pozwala układ zawarty w Björkö z cesarzem Wilhelmem. Być może, iż ogromny animusz, okazywany teraz przez Rosyan, jest tylko manewrem, aby skłonić Japończyków do stawiania bardzo skromnych warunków pokoju. Zwracamy tu uwagę na to, że w carskim liście, wręczonym przez p. Wittego prezydentowi Rooseveltowi, powiedziano, iż car dlatego jedynie przystał na układy pokojowe, aby dać dowód przyjaźni takiemu pośrednikowi, jak prezydent zaprzyjaźnionych z Rosyą Stanów Zjednoczonych. Słowem Rosya tak się teraz zachowuje, jak gdyby, zgadzając się na układy pokojowe, czyniła z siebie ogromną ofiarę.

Czy to manewr, na który Japończycy pewnie się nie złapią, czy też jedno z tych bajecznych złudzeń, którym w Petersburgu już nieraz się oddawano w ciągu tej wojny, to już się lada dzień pokaże, bo rokowania jutro się zaczną.

Korespondencye.

Wiedeń 5 sierpnia.

(Podniesienie cen mięsa przez rzeźników wiedeńskich. — Wrzawa z tego powodu. — Rzeźnia miejska. — Interwencya Magistratu.)

(y). Niesłychane wzburzenie zapanowało wśród ludności Wiednia na wiadomość, że rzeźnicy tutejsi z dniem wczorajszym nagle podwyższyli cenę mięsa o 10 halerzy na kilogramie. Przytem zapowiadają rzeźnicy, że na teraźniejszem podwyższeniu cen nie skończy się i publiczność powinna być przygotowana na to, że niebawem jeszcze bardziej pójdą one w górę, gdyż spęd wołów na targ wiedeński jest za mały i rzeźnicy muszą przepłacać bydło. Jako drugi powód tego nagłego i w największej tajemnicy przez rzeźników ukartowanego podwyższenia cen mięsa podaje przełożony korporacyi rzeźnickiej, radny miejski Hütter, założenie wielkiej rzeźni gminnej. Rzeźnia ta bowiem zakupuje po kilkaset wołów tygodniowo i — zdaniem p. Hüttera — robi szkodliwą konkurencyę rzeźnikom, gdyż płaci wysokie ceny za woły i przez to zmusza także ich do płacenia tak samo wysokich cen, a straty stąd powstałe muszą rzeźnicy odbić tylko na konsumentach.

Magistrat tutejszy, który z całym pośpiechem zabrał się do zbadania sprawy, z oburzeniem odpiera podniesiony wyżej zarzut rzeźników i piętnuje ich postępowanie jako niegodny wyzysk lichwiarski popełniany na ludności. Rzeźnia miejska zakupuje wprawdzie tygodniowo 200 do 250 wołów, ale nie na targu wiedeńskim, tylko na prowincyi, wprost u hodowców, a ajenci jej są bezustannie w podróży i rozglądają się za towarem. Te woły, które zakupuje rzeźnia gminna, nigdy nie dostałyby się na targ wiedeński, gdyby nie ona, a zatem powstanie jej nie stworzyło rzeźnikom żadnej konkurencyi, lecz przeciwnie przyczyniła się do tego, że tygodniowe zaopatrywanie Wiednia w woły zwiększyło się o całą ilość bydła, zakupywanego przez tę rzeźnię. Zresztą i z tego powodu także nie mogą rzeźnicy wiedeńscy mówić o szkodliwej konkurencyi rzeźni miejskiej, iż mięso ze swoich wołów sprzedaje ona dotychczas tylko rzeźnikom, a nie wprost publiczności — wobec wyzysku jednak, jakiego dopuszczają się rzeźnicy, będzie musiała zająć się jak najrychlejszem urządzeniem detalicznej sprzedaży.

Miejski urząd targowy wygotował już w tej sprawie obszerne sprawozdanie dla burmistrza dra Luegera, który powrócił już wprawdzie z Karlsbadu, ale jeszcze jest na urlopie i nie objął urzędowania. W najbliższych dniach zaś odbędzie się gremialne posiedzenie Magistratu pod przewodnictwem dra Luegera, na którem powzięte zostaną ostateczne uchwały.

Prasa tutejsza trąbi na alarm i wzywa Magistrat, aby ukrócił samowolę rzeźników i nie dopuścił do tego, by ludności podrażano najniezbędniejszy artykuł potrzebny do życia. Niektóre pisma w artykułach fachowych dowodzą, że rzeźnicy niedługo już będą panami sytuacyi, gdyż po wejściu w życie nowych traktatów handlowych, ceny bydła muszą spaść w całej Austryi, a następstwem tego musi być obniżenie cen mięsa.

Dziś istotnie dowóz bydła na targ wiedeński jest niewielki, gdyż najlepsze woły wywożone bywają do Niemiec. Od 1 marca 1906 jednak, to jest od dnia, w którym zaczyna obowiązywać nowa taryfa celna w Niemczech, zmieni się to gruntownie, eksport bydła do Niemiec zmniejszyć się musi kolosalnie, a tem samem więcej wołów krajowej hodowli pozostanie na zaspokojenie potrzeb wewnętrznej konsumcyi. Dziś płaci się na granicy niemieckiej cło od sztuki, a mianowicie 25⅓ marki od wołu bez względu na to, czy to jest chudy wół z paszy, czy też kolos opasowy, zaś od 1 marca 1906 opłacać się będzie cło w wysokości 8 marek od 100 kilo żywej wagi. Ponieważ przeciętna waga wołu wywożonego za granicę wynosi 700 kilo, przeto cło kosztować będzie 56 marek, a zatem więcej, niż dwa razy tyle co teraz. Jeszcze bardziej utrudniony będzie wywóz krów do Niemiec. Dziś płaci się 9 marek od sztuki, a w przyszłości płacić się będzie 8 marek od 100 kilo, czyli 40 marek od krowy, gdyż przeciętna waga krowy wynosi 500 kilo. A zatem cło od krów zwiększone zostanie więcej niż w czwórnasób. Że wobec tego eksport wołów i krów z naszej monarchii musi spaść kolosalnie, to nie ulega wątpliwości, skorzysta zaś z tego głównie targ wiedeński.

Co i o czem piszą.

Pisaliśmy już o wiecu zakopańskim, zwołanym przez socyalistów galicyjskich i rewolucyonistów warszawskich, i uchwale jego, że mianem zdrajcy należy napiętnować każdego, kto się oświadczy za tem, aby młodzież w Królestwie polskiem wróciła do szkół z początkiem nowego roku szkolnego. Owóż bardzo rozsądne zdanie wypowiada w tej materyi *Gazeta narodowa*. Czytamy tam:

Smutne, nadzwyczaj smutne wrażenie czynią uchwały wiecu w Zakopanem. Jakkolwiek nie przeceniamy wcale ich znaczenia, którego zgromadzeniu, zorganizowanemu przez socyalistów, a złożonemu przeważnie z ludzi, których tam przywiodła żądza wrażeń lub ciekawość, przypisać trudno, niemile dotknąć nas musi zawarty w uchwałach zjazdu dyssonans; powrót do zużytej i wstrętnej metody teroryzmu, gróźb i piętnowania potępić też należy z większą jeszcze stanowczością, aniżeli uchwały w sprawie bojkotu szkolnego; jakkolwiek bowiem zdania, wypowiedzianego w rzeczonych uchwałach, nie podzielamy i uważamy namawianie młodzieży do przedłużania bojkotu za szkodliwe w skutkach, zaznaczaliśmy już niejednokrotnie, że powodem dotyczącej niefortunnej akcyi była wynikająca ze smutnego położenia naszego narodu i z braku politycznego doświadczenia polityka rozpaczy; strzegąc się tej namiętności w polemice, nie zaprzeczaliśmy nigdy rodzicom i uczniom, którzy rozpoczęli bezrobocie dobrej wiary, ale uważaliśmy rzeczoną akcyę za wynik gorączki, która przeminie i za dzieło postronnej a wielce nierozważnej agitacyi.

W chwili, w której tyle okoliczności na to się składa, ażeby społeczeństwo polskie w Królestwie doprowadzić do rozstroju, w chwili, gdy czynownictwo widzi, że byt jego w Królestwie może być zagrożonym i potrzebuje koniecznie ciągłych zaburzeń, ażeby z ich pomocą wykazać w Petersburgu swoją w Królestwie i innych ziemiach polskich niezbędność, naród szedłby nieświadomie na rękę czynownikom, gdyby prowadził politykę folgowaniu podrażnionym nerwom ulegającą i gdyby w tejże polityce postępował za głosem podnieconego słusznem oburzeniem temperamentu, i gdyby nie usłuchał głosu sumiennej i dojrzałej rozwagi.

W tej niezaprzeczenie przełomowej chwili jest obowiązkiem naszej dzielnicy dzielić się z ziemiami polskiemi pod zaborem rosyjskim po bratersku doświadczeniem naszem, starać się opatrzyć otwarte rany balsamem, boleść ukoić, niepokój, który psychologicznie jest łatwym do wytłumaczenia, ale który zazwyczaj bywa złym politycznym doradcą, stopniowo usuwać i ciągle a wytrwale przedstawiać, że polityka Królestwa w stosunku do rządu rosyjskiego strzedz się ma wszelkiego płaszczenia i braku godności, że powinna być bardzo stanowczą, ale obok tego bardzo spokojną. Tak, jak w bitwie przeciwnik liczy się tylko z takim dowódzcą sił zbrojnych, który plan operacyi oparł na przewidzeniu ich skutków, w czasie walki zachował zimną krew i nie dał się porwać uniesieniu, tak samo w i polityce. Dowódzców zaś, którzy bez pewności, że to do wygranej pomoże, narażali drogi ich sercu materyał żołnierzy na dotkliwe straty, nie wyrządzając przez to nieprzyjacielowi żadnej szkody, pociągano niejednokrotnie do odpowiedzialności; chęci ich mogły być najlepsze, ale brakło im potrzebnego spokoju do kierunku armią.

O ile długoletnie a przymusowe oderwanie od życia politycznego, dotkliwe prześladowanie ze strony rosyjskiego rządu, a obok tego nagłe rozbudzenie nadziei pod wpływem wojny japońskiej i konstytucyjnego ruchu w Rosyi, może przy wydawaniu sądu o polityce zwolenników bezrobocia stanowić okoliczność łagodzącą, o tyle stanowczo trzeba odmówić tejże okoliczności łagodzącej tym mieszkańcom Galicyi, którzy zamiast przestrzegać przed polityką nerwów, dolewają oliwy do ognia.

Sądy doraźne.

Słowo warszawskie otrzymało od jednego z wybitnych obywateli miasta Warszawy następujące uwagi na powyższy temat:

Nie ma dnia, by pisma nasze nie notowały wypadku wykonania wyroków, tj. sądów doraźnych. Publiczność czytająca codziennie o poranieniu lub zabiciu rzemieślników, co ośmielili się nie przystępować do strejków, nie słuchać komendy bezwzględnych terorystów, dowiadując się o pobiciu złodziejów rejfurów, lub passerów, nie odczuwa widocznie strasznej grozy, jaka się kryje po za temi luźnemi notatkami, często niestety nawet sprzyja tej doraźnej „sprawiedliwości“ ludowej, bo ostatecznie, któż będzie żałował tak bardzo złodzieja, dotkniętego karą.

Kto jednakże są ci ludzie, co wyrokują o winie upatrzonej ofiary i ci, co te wyroki w barbarzyński sposób spełniają?

Przed kilku dniami na jednem z przedmieść Warszawy byłem przypadkowo świadkiem wykonania takiego wyroku; bito jakiegoś człowieka, podobno złodzieja zawodowego. Nie wiem, jakie były jego winy, być może bardzo wielkie, ale sposób, w jaki go za nie karano, a właściwie katowano, był okrutny. Przypuszczam, że ci, co patrzyli na stosowanie tortur średniowiecznych, musieli mieć to wrażenie, jakie ja wyniosłem, jako mimowolny świadek „wykonania wyroku“. Bito go kijami, prętami żelaznymi itp. po głowie, plecach, rękach i nogach, a dokonywano tej egzekucyi z wyrafinowaną okrutnością, zadając razy w miejsca najbardziej czułe: w golenia, kolana, w brzuch i na twarz. Gdy katowany w ten sposób, zalany krwią, padał już bezsilny, kopano go i kazano mu podnosić się, by nowem uderzeniem powalić go na ziemię.

Chciałem iść mu na pomoc; powstrzymał mię siłą towarzysz, nie radząc narażać się wykonawcom wyroku, którzyby wtedy w równy sposób przeciwko nam się zwrócili. A ci wykonawcy tajemniczej sprawiedliwości jacy byli straszni! Robili wrażenie bandy opryszków, wśród których katowany jeszcze najbardziej uczciwą miał minę. Z jakąż zimną obojętnością straszliwe razy zadawali swej ofierze! Nawet bez krzyku i zamieszania; ze zręcznością katów wykonywali swą czynność. Niemal grobowa cisza panowała wśród tłumu na ulicy, słychać było tylko odgłosy wymierzanych uderzeń i jęki ofiary.

Opuszczaliśmy miejsce przejęci zgrozą już nie nad dolą nieszczęśliwego, którego w dorożce nawpół żywego dwaj policyanci później odwozili, ale nad losem społeczeństwa, wśród którego wytwarzają się owe bandy katów, spokojnie w biały dzień w ludnej okolicy wymierzających gorzej od zwierząt dzikich zemstę czy mniemaną sprawiedliwość.

Co jeszcze straszniejsze, to, że gdy katowano owego człowieka, chłopcy z domów okolicznych wybiegali i, łapiąc po drodze kije, dopomagali w znęcaniu się nad ofiarą „sądu doraźnego“, a ojcowie i matki nie uważali za stosowne powstrzymać swych dzieci od tej hańbiącej młodociane dusze czynności katowskiej. Co z tych dzieci wyrośnie?! Jakie-to żywioły wybierają na wykonawców sprawiedliwości tych strasznych ludzi, zbirów o minach łajdackich, którzy dokonawszy swej okrutnej czynności, niby bohaterowie idą dalej spokojnie szukać nowej ofiary. Wczoraj grabiono i niszczono w imię moralności domy rozpusty, dziś w imię sprawiedliwości katują złodziei prawdziwych czy domniemanych, kogoż jutro rozpoczną niszczyć i zabijać?! i w imię jakiej podniosłej zasady lub popularnego hasła?! Stają się bohaterami tłumów, ręka prawdziwej sprawiedliwości ich nie dosięga, a w nich nie wy-

75)

G. ROVETTA.

PANIENKA

(La Signorina)

Powieść

Przekład z włoskiego.

(Dokończenie).

Franciszek zbladł jeszcze mocniej, mówił głosem drżącym, zmienionym.

— Gdy pokochasz kogo... powiedz mi.

— Nie.

— Jakto nie?

— Nie! — powtórzyła Helena z mocą.

Franciszek spojrzał na nią zdziwiony.

— Czy zabronisz sercu... pokochać?

— Bynajmniej, ale panu o tem nie powiem

— Dlaczego?

— Bo tak.

Franciszek się zerwał; spojrzał uważnie na dziewczę, usiłując rozwiązać tę zagadkę.

Helena mówiła dalej, patrząc mu w oczy:

— Nie, nie, nie!

Roerowi krew uderzyła do głowy. Czy się łudzi, czy śni, czy może utracił zmysły... czy też to prawda?

— Słuchaj Heleno — przemówił ciszej głosem poważnym. — Słuchaj dobrze! Czy wiesz o tem, że się pewien młody człowiek w tobie kocha .. że się kocha szczerze, uczciwie?

— Wiem o tem, ale ja go nie kocham.

— Przysięgnij! — zawołał Franciszek, przystąpiwszy do Heleny z błyskiem zazdrości w oczach.

— Nie kocham go — odpowiedziało dziewczę z prostotą, patrząc nań wzrokiem pewnym, spokojnym.

Franciszek ujął w milczeniu jej rękę i spojrzał na nią błagalnie.

Helena czytała w jego wzroku, czuła palący uścisk jego dłoni. Nie łudziła się.

— Niech pan nie odjeżdża — błagała — niech pan zostanie ze mną... zawsze ze mną!

Przytuliła dłoń jego do płonącego, wilgotnego policzka i rzuciła mu się na pierś, na wpół omdlała.

Franciszek pochwycił ją w objęcia i ściskał namiętnie. wołając głosem zdławionym:

— Helenko... Helenko!...

Helena milczała, przytulona do niego, poczem podniosła główkę i patrzyła nań oczyma błyszczącemi z radości, szczęścia i miłości:

— Teraz niech mnie pan dalej nazywa Lulu... Lulu zostanie zawsze przy panu, tak jak teraz...

Franciszek drżał jak młody chłopak, głaskał główkę Heleny i tulił ją do piersi:

— Moje dziecko... Lulu... moja droga.. Nie łudź się... Ty się łudzisz. Ty mię lubisz, ale kochać mnie nie możesz, nie będziesz mnie nigdy mogła kochać! Daj mi odjechać...

— Nie!

— Ale pomyśl, co się stanie ze mną potem.,. jeżeli ty się dziś mylisz...

— Nie... nie odjeżdżaj pan... zostań pan ze mną... zawsze ze mną... — powtórzyło dziewczę głosem pieszczotliwym; wsparła główkę na jego ramieniu i przytuliła się mocniej do jego piersi.

— Ale muszę ci przedtem tyle opowiedzieć... Nie jestem ciebie godzien.... Tobie się zdaje, że mię kochasz, ale to tylko z dobroci, z wdzięczności. Wiedz zatem..... tyś mi nic nie winna. To, co dla ciebie uczyniłem, musiałem uczynić; był to czysty obowiązek!.. Wytłómaczę ci.... Ty mi nic nie zawdzięczasz!

— Zawdzięczam panu to, że pana kocham.... i to mię uszczęśliwia!

Franciszek drżał wciąż jak w febrze; mówił głosem przyciszonym, ukrywając twarz w wonnych włosach Heleny.

— Tak, kocham cię, Heleno, kocham cię. Przekonałem się o tem wczoraj i dlatego.... jedynie dlatego, chciałem wyjechać, chciałem uciec....

Dreszcz radości wstrząsnął postacią Heleny.

— Chciałem uciec z Lodignoli, od ciebie, od wszystkich, trawiony rozpaczliwą zazdrością. Tak, tyś zawładnęła mojem sercem, jesteś jego panią; musisz jednak zajrzeć w głąb mego sumienia i osądzić mię. Słuchaj.... ja przez dziesięć lat należałem do innej kobiety.

— Wiem o tem.

— Była to miłość zupełnie odmienna od tej, jaką ciebie pokochałem, gdyż tamtej nic nie zawdzięczałem, nie szanowałem jej nawet.... A jednak poświęciłem jej młodość moją, życie całe, honor....

— Wiem o tem.

— Stałem się przy niej niedołężny i nikczemny. Urodziłem się do czynu, do walki, do zwycięstwa. Widziałem dokoła siebie nędzę i niesprawiedliwość; pragnąłem się poświęcić dla dobra ludzi. Przez nią zaś zasklepiłem się w samolubnej namiętności, zaskorupiłem się w przyzwyczajeniach egoistycznych stokroć jeszcze gorszych.... ty tego nie rozumiesz.... ale ja rozumiem.... I czuję, że już zapóźno!

— Nigdy, nigdy nie jest zapóźno! Nędzy i krzywd zawsze jest dosyć na świecie. A.... *ty* — wymówiła to słówko z płonącemi licami i rozpromienionemi oczyma — ty wiesz o tem! ty, który zawsze byłeś taki dobry, który tyle dobrego zdziałałeś, acz nieobecny, który pragnąłeś, by inni w twojem imieniu dobrodziejstwa wyświadczali.... Zamiast dobrych książek będziesz robił dobre uczynki razem ze mną. Ci, którzy cierpią, skorzystają na tem, a przykład będzie tem pożyteczniejszy.

— Ale pomyśl także o tem.... Powinnaś także o tem wiedzieć, bo masz o wszystkiem wiedzieć. Gdyby ta kobieta, dziś gdy jest wolną, była chciała, nie byłbym dziś przy tobie, lecz przy niej.

— Byłoby to twoim obowiązkiem.

— A ty?

— Wszak ci powiedziałam: zostałabym jak pani Eugenia, zawsze sama.

Franciszek omal zmysłów nie postradał z nadmiaru szczęścia.

— Moja kochana! Mój aniele! Posłuchaj mnie, ale z uwagą: Tyś młoda.... jesteś jeszcze dzieckiem.... a ja jestem w tym wieku, w jakim twój ojciec byłby teraz! Zbyt mało widywaliśmy się, zbyt krótki czas kochasz mię, byś mogła się zobowiązać na całe życie.

— Ja cię zawsze kochałam. Jak daleko pamięć moja sięga, zawsze pamiętam twój obraz. Kochałam cię nawet wtedy, gdyś był daleko, gdy ciebie nie widziałam.... i byłam zazdrośna, płakałam. A jednak wierzyłam, zawsze ufałam, że będę szczęśliwą w przyszłości, gdyż zawsze uważałam się za twoją, zupełnie twoją. Jak wiesz, jestem trochę dzika. Ciebie jednego tylko kochałam prawdziwie. Panią Eugenię, moją kochaną mateczkę kocham bardzo, a jednak.... wczoraj, gdy byłam zła na ciebie, ona mi była całkiem obojętna i odpowiadałam jej niegrzecznie, byłam niedobra. Widzę, cię dziś tak samo, jak po raz pierwszy. Niczego nie pamiętam, oprócz ciebie jednego.... Widzę cię takim, jakim cię widziałam po raz pierwszy, gdyś przyszedł i zabrał mię do siebie. Pozostałeś zawsze dla mnie tymsamym i zawsze tymsamym pozostaniesz. Od tego czasu! Tak, tak.... od tego czasu!

Oczy Heleny zabłysły; odsunęła się od niego.

— Powiedz mi... czy to możebne, żeby się dziecko w tym wieku mogło zakochać?

Franciszek przygarnął ją ku sobie, spojrzał na nią z bezgraniczną miłością i pochyliwszy się ku niej, pocałował ją palącemi usty.

Helena wycofała się z jego objęć, wysunęła z jego dłoni rękę i uśmiechnęła się:

— Tutaj....

Pochyliła główkę, zgarnąwszy włosy na czoło, tak samo, jak kiedyś Lulu robiła i nastawiła Franciszkowi swój biały karczek do pocałowania.

KONIEC.

Tłómaczyła Janina Salzmanówna.
W Medynie, dnia 6 stycznia 1905 r.

robi się poczucie sprawiedliwości i moralności, ani oburzenie na złe, lecz raczej zanik moralności i uczuć ludzkich, zwierzęcość, która rychło ich wykieruje na „bohaterów“, zdolnych do każdej zbrodni.

Cóż się stanie z krajem naszym, co z ludnością jego, gdy bezmyślnymi i bezskutecznymi strejkami zrujnujemy różne gałęzie produkcyi, wzmożemy pauperyzm, a równocześnie wyrobimy wśród młodszego pokolenia, przodującego wśród sądów doraźnych, krwiożercze instynkty?

Wszak siebie samych, swoje społeczeństwo dezorganizujemy i demoralizujemy. Zastanówmy się nareszcie nad tą samobójczą działalnością.

Znowu alarmy pruskie.

W Grudziądzu wychodzi pisemko niemieckie *Geselliger*, bardzo rozpowszechnione pomiędzy Niemcami poznańskimi. Opowiada ono co następuje:

„W małem miasteczku, na południu prowincyi poznańskiej, służył przy tamtejszym kościele katolickim zakrystyan narodowości polskiej, który miał żonę Niemkę-katoliczkę. Z małżeństwa przyszło na świat dwóch synów. Rodzice wychowywali ich w ten sposób, że chłopcy władali zarówno językiem polskim, jak niemieckim. Zakrystyan zmarł wcześnie, a niebawem po jego śmierci przyszedł na świat jeszcze jeden potomek. Stosunki rodzinne, zawsze dość opłakane, pogorszyły się teraz znacznie.

„Wówczas wystąpił xiądz proboszcz jako wybawiciel i przyrzekł zająć się chłopcem. Wziął go do siebie, aby mieć dziecko pod okiem. Matka musiała podpisać rewers, w którym zrzekła się wszelkich praw matki wychowawczyni, przenosząc je wszystkie na xiędza proboszcza. W tym samym rewersie matka musiała zobowiązać się, że gdy pupil xiędza odwiedzać będzie matkę i braci, nikt z nich nie będzie z nim rozmawiał po niemiecku.

X. proboszcz wywiera tak silny wpływ na swoje owieczki parafialne, że matka i bracia jego wychowanka ściśle trzymają się danego przyrzeczenia. Chłopiec bawi obecnie u swojej matki i swoich krewnych, którzy są wszyscy katolikami niemieckimi i którzy kaleczą, jak mogą, język polski, byle z chłopcem nie wymieniać ani jednego wyrazu niemieckiego, tem bardziej, że chłopiec zapewne wcale po niemiecku nie umie. Jeżeli na ulicy zbliżą się wyrostki niemieckie do chłopca, ten odwraca się od nich ze wstrętem i woła po polsku: „Precz!“

Berlińska *Nazionalzeitung* podnosi w obliczu tego gorszącego faktu lament wielkoniemiecki i w artykule wstępnym utrzymuje, że x. proboszcz pogwałcił prawa macierzyńskie wdowy po zakrystanie, wyzyskując jej nędzę, jak lichwiarz wyzyskuje opłakane położenie dłużnika.

Sądzimy, że jeżeli komukolwiek przypadek szczęśliwy czy nieszczęśliwy odda w ręce młodą, na cudzej glebie rodzimej wyrosłą latorośl na wychowanie, to ten przypadkowy czy opatrznościowy wychowawca będzie się starał dziecku przyswoić takie pojęcia i uczucia, jakie sam wyznaje i za najzacniejsze, najbliższe prawdy i dobra uważa. Zmarły zakrystyan był Polakiem, nic naturalniejszego, że xiądz proboszcz, chociażby przez cześć dla pamięci ojca, swego dobrego znajomego i wiernego niegdyś sługi, pragnął wychować dziecko w poczuciu tej narodowości, którą przyniósł z sobą w kolebce.

Gdyby kontrasty uczuć i przekonań narodowych nie były tak silnie zaostrzone w W. Ks. Poznańskiem, gdyby Niemcy tamtejsi nie szli ławą pod sztandarem hakatyzmu, który powietrze nawet, wiejące nad niwami poznańskiemi, konfiskuje na rzecz germanizmu, zapewne x. proboszcz warunku takiego by nie stawiał. Zamierzywszy jednak bezinteresownie zająć się chłopcem, pragnął przynajmniej tej rękojmi, że ziarna uczuć polskich, wrzuconego w serce dziecka polskiego, krewni niemieccy matki nie zechcą wyplenić, albo przynajmniej wzrostu jego paraliżować.

Bezstronnie i przedmiotowo fakt sądząc— nie ze stanowiska prusko-hakatystycznego — nie widzimy tu bynajmniej karygodnych poszlak „wyzyskania niedoli matczynej“. Wątpimy bardzo, ażeby matka, podpisując rewers, czyniła to pod przymusem moralnym.

Ale *Nationalzeitung* nie omieszkała, ogłaszając fakt zaszły w miasteczku południowo poznańskiem, wejść na grunt szeroko-polityczny i wysnuwa wnioski, zmierzające do spotęgowania jeszcze silniejszej germanizacyi, posługując się przytem argumentami — kłamstwa.

Pisze ona:

„Tu chodzi o pogwałcenie języka matki i to nie na gruncie Kościoła, ale w samej rodzinie. A jeżeli Polacy biadają na prusko-niemieckie rządy za to, że w nauce szkolnej język polski spychają na drugi plan na rzecz niemieckiego języka cudzoziemskiego, to nie słyszeliśmy jednak dotychczas faktu, żeby język ten wpychano przemocą w progi domu rodzimego, ażeby i tutaj usiłowano wypleniać język ojczysty. Xiądz proboszcz nie zawahał się jednak przed takiem wtargnięciem.

„Katolików niemieckich na kresach wschodnich fakt powyższy przekona, jakiemi środkami pracują uciśnieni Polacy i przeciw komu. Z wyznaniem katolickiem powyższy polsko-narodowy prozelityzm nie ma nic wspólnego.“

National-Zeitung posługuje się świadomie nieprawdą, jeżeli twierdzi, że pruski systemat szkolno-germanizatorski nie wkracza w progi domu polskiego i to nie na mocy dobrowolnej umowy, ale na mocy jedynie — swej siły fizycznej. Organ berliński zapewne nie notował całego szeregu przypadków, w których, karano grzywnami lub więzieniem starszego brata lub starszą siostrę za to, że w domu własnym, w owem sanctuarium, szanowanem nawet przez system pruski, uczyli języka polskiego młodsze swoje rodzeństwo, zapełniając lukę, jaką wytworzyła pod wpływem hakatyzmu pruska szkoła państwowa. Każde dziecko polskie, wstępujące do szkoły pruskiej, podpisuje ipso facto ów rewers, że nie będzie umiało jednego wyrazu po polsku! Przynajmniej dzisiejsza szkoła w Prusiech dąży do tego, i gdyby nie dom rodzicielski, celu swojego dopięłaby z łatwością.

Wobec takiego gromadnego rewersu, żądanego od całego społeczeństwa polskiego w Prusiech nie można się znowu tak świętobliwie oburzać obronnym rewersem xiędza proboszcza.

Czy należy jeść mięso, czy też jarzyny?

We Lwowie wychodzi od lat czterech miesięcznik pod tytułem *Przegląd hygieniczny*, bardzo dobrze redagowany przez czterech lekarzy: d-ra S. Bądzyńskiego, d-ra M. Grabowskiego, d-ra W. Legeżyńskiego i d-ra K. Panka, a pod naczelnem kierownictwem profesora d-ra J. Szpilmana. W miesięczniku tym skończyła się teraz bardzo sumienna praca d-ra K. Panka pod tytułem: „Jarstwo wobec nowoczesnej wiedzy“. Praca to obszerna, obejmująca tę sprawę ze wszystkich punktów widzenia, nacechowana zupełną bezstronnością autora i wolna od wszelkiej propagandy.

Dr. Panek nie miał wcale zamiaru przekształcić nas w jaroszów czyli wegetaryanów, ani też nie zależało mu na tem, żebyśmy zostali namiętnymi mięsożercami, lecz badał po kolei dodatnie i ujemne strony pożywienia mięsnego i jarzynowego, jakoteż mlecznego, i doszedł do wniosku, że pożywienie mieszane jest najlepsze, a najgorszem pożywienie wyłącznie mięsne, zwłaszcza zaś obfite mięsne na kolacyę. Radzi przeto jeść niewiele mięsa na obiad, a na kolacyę stanowczo tylko mleko, jarzyny i owoce.

Powtórzymy tu dosłownie wywody szanownego autora, zamykające rozprawę:

„W zestawieniu wyników powyższych badań doświadczalnych znajdujemy streszczenie naszych wywodów o zachowaniu się strawy roślinnej w ustroju: Pomimo małej zawartości białka i trudnej wessalności strawy jarskiej w porównaniu z pokarmem zwierzęcym, jest ustrój do pewnego stopnia w stanie przystosować się do niej tak, że nie tylko utrzymuje się w równowadze azotowej, lecz nawet przybiera na wadze, o ile oczywiście z jakichkolwiek przyczyn nie zwiększy się jego zapotrzebowanie białka. Wpływ żywienia jarskiego na przemianę materyi ujawnia się w zmniejszonem wydzielaniu mocznika, kwasu moczowego, kreatyniny i innych ciał azotowych, jakoteż przetworów gnicia, a we wzmożeniu się składników mineralnych w moczu.

Na podstawie wszystkich tych wywodów przychodzimy tedy do wniosku, że wyniki dotychczasowych badań nie rozstrzygają wcale pytania: pokarm roślinny czy zwierzęcy, na korzyść tej lub owej strony. Jeden i drugi rodzaj pożywienia posiada swoje ujemne i dodatnie strony wobec ustroju. Dodatnia strona pokarmów zwierzęcego pochodzenia, to ich łatwa strawność i wysoka wartość odżywcza, ujemna — niekorzystny poniekąd wpływ na ogólną przemianę materyi; przeciwnie zaś pokarmy roślinne cechuje ogółem gorsza strawność, mniejsza wartość odżywcza, natomiast dodatnie działanie na chemizm ustroju. Tak przy strawie zwierzęcej, jakoteż czysto roślinnej ustrój może trzymać się w równowadze fizyologicznej, jednakże ani jedna ani druga jako wyłączny pokarm dla dłuższego żywienia się nie nadają. Za najodpowiedniejsze musimy uważać pożywienie mieszanek tak dobrane, aby łączyło korzyści obu rodzajów strawy, a nie posiadało ich ujemnych właściwości. Do pewnego stopnia odpowiada tym wymogom strawa codzienna ze znaczną przewagą pokarmów roślinnych, a umiarkowanym dodatkiem mięsa. Przy tym składzie bowiem pożywienia nikt dotąd nie wykazał żadnego ujemnego działania na ustrój zdrowy.

Natomiast nie możemy przeciwstawić żadnego poważnego zarzutu tym jaroszom, którzy ze względów zdrowotnych polecają strawę mieszaną w postaci pożywienia roślinno-mlecznego, z wykluczeniem mięsa. Mleko i jego przetwory łączą wszystkie dodatnie strony pożywienia mięsnego, a nie posiadają jego wad. Ze stanowiska więc teoretycznego pożywienie mleczno-roślinne przedstawia rzeczywiście w całem słowa tego znaczeniu „pokarm zdrowy“, jakkolwiek w praktyce z różnych względów żywienie takie nie zawsze przeprowadzić się daje. Bądź co bądź pożywienie tego rodzaju musimy jednakże uważać zawsze za pokarm mieszany, a nie „jarski“, jak go niewłaściwie pewna część jaroszów zowie.

Poznawszy w głównych zarysach braki i korzyści pożywienia roślinnego, możemy należycie ocenić znaczenie jarskiego żywienia w życiu codziennem. Jakkolwiek bowiem zasadnicza myśl jarstwa pozbawiona jest naukowego uzasadnienia, to przecież z drugiej nie można przyznać słuszności tym, którzy wychodząc z założenia, iż najwłaściwszym pokarmem człowieka jest pożywienie mieszane, cały ruch jarski w czambuł potępiają. Dla hygieny i nauki żywienia, a wreszcie lecznictwa ruch ten okazał się pod wielu względami pożytecznym.

Jak wiadomo, jednym z najważniejszych motywów, którym ruch jarski powstanie swe zawdzięcza, jest niewątpliwie umiarkowanie w jedzeniu i piciu. Jarstwo jest wyrazem skrajnym tego dążenia, niejako znakiem widomym dla szerokich mas ludności w walce przeciwko zwyrodnieniu obyczajów, przeciw uciechom zmysłowym, wyrafinowanej kuchni, przeciw pijaństwu i t. p. wadom. Oczywiście każdy przyzna, iż tam gdzie dobra wola i uświadomienie istnieje, tam i przy żywieniu mieszanem dążeniu temu nic nie stanie na przeszkodzie. Bądź co bądź jednak już samo krzewienie słowem i czynem owej prostoty i wstrzemięźliwości w życiu codziennem policzyć należy do zasług tego ruchu, bez względu na to, jakim skutkiem starania te uwieńczone zostają.

Korzystnym okazał się powtóre ruch jarjarski z tego względu, iż zwrócił uwagę na właściwą wartość pokarmów roślinnych i stał się poniekąd bodźcem do badań nad składem pożywienia. Dzięki tym badaniom stwierdzono, jak ważną rolę w pożywieniu odgrywa jakość pokarmów i racyonalny ich dobór. Zwłaszcza wadliwość pożywienia zawierającego nadmierne ilości białka uwydatnioną została.

Błędne pojęcia pod tym względem spotykamy na porządku dziennym wśród ogółu. Za ideał pożywienia uważaną bywa najczęściej strawa o ile możności w białko najzasobniejsza. I jeżeli weźmiemy pod uwagę skład pożywienia ogółu, począwszy od średnio zamożnych warstw, to przychodzimy do przekonania, że na strawę powszednią składają się głównie pokarmy mięsne. Spożywane przytem ilości białka są zwykle kilkakrotnie większe od zapotrzebowania ustroju. O stosunkach tych świadczy wymowne dobór potraw, z jakich się zazwyczaj nasze obiady i wieczerze składają. Główną treść ich stanowią dania mięsne, zaś dodatek potraw roślinnych a zwłaszcza jarzyn, ma znaczenie więcej dekoratywne aniżeli odżywcze. A przecież racyonalny dobór pokarmów wymaga stosunków wprost odwrotnych, tak ze względu na zawartość węglowodanów, jakoteż soli. Ażeby bowiem pokryć zapotrzebowanie ustroju w białko (około 100 gr. na dobę) wystarcza w zupełności jednorazowe spożycie w ciągu dnia pokarmu mięsnego, mając na względzie to, że w mleku, jajach, chlebie i t. p. pokarmach wprowadzamy wcale pokaźne ilości ciał białkowatych. Łatwo zaś zrozumieć z poprzednich naszych wywodów, że stałe wprowadzanie nadmiernych ilości białka i ciał azotowych w niekorzystnych warunkach odbija się wcześniej czy później na stanie zdrowia ustroju. Prawda, że organizm nasz w tym względzie dużo wytrzymuje. Dzięki rozmaitym swym urządzeniom regulacyjnym jest on w stanie przystosować się do tego rodzaju żywienia w tej mierze, że długi czas szkodliwych następstw tego nie zauważymy. Że jednak regulacya ta łatwo wyczerpać się może, świadczy o tem częstość zboczeń chorobowych w zakresie przemiany materyi spotykanych szczególniej wśród ludności miejskiej, które w znacznej mierze odnieść należy do pomijania głównych zasad hygieny żywienia.

Błędne jest również mniemanie, zresztą dosyć rozpowszechnione, iż przez obfite mięsne żywienie zdołamy korzystnie wpłynąć na stan odżywienia ustroju. Korzyść takiego żywienia nie wielka — szkoda większa. Badania przemiany materyi u osób forsownie żywionych przeważnie mięsem, wykazują, że prawie cała ilość wprowadzonego białka zostaje przerobiona i w postaci związków azotowych wydzieloną, podczas gdy ilość przyswojonego azotu nie wiele się zwiększa.

Natomiast wzrasta pod wpływem takiego żywienia niezmiernie ilość kwasu moczowego i kwasów mineralnych w ustroju. Zobojętnienie tych kwasów w braku odpowiedniej ilości soli w pokarmach mięsnych pokrywają w znacznej części soki i tkanki swym własnym zapasem soli ze szkodą dla czynności życiowych ustroju.

Na nadmiar białka w codziennem pożywieniu zwracają szczególniej uwagę autorzy francuscy, przypisując im cały szereg zboczeń chorobowych objętych przez nich ogólną nazwą albuminizmu, a wywołanych współdziałaniem znanych nam czynników jak nagromadzenie kwasu moczowego w sokach ustroju, nadmierne powstawanie kwasów mineralnych, utrata soli itp. Rozliczne schorzenia wywołane zaburzeniami przemiany materyi, najczęściej na tle skazy moczowej, spotykane tak często wśród klas zamożniejszych, posiadają źródło swe w pierwszym rzędzie w wadliwie pojętem odżywianiu. Brak ruchu fizycznego, nieodpowiednie warunki hygieniczne zwykle pogłębiają objawy tych schorzeń, zmieniając mniej lub więcej obraz choroby.

Ograniczenie potraw mięsnych w codziennem żywieniu jest więc z wielu względów nader pożądane. Spożywanie zwłaszcza większych ilości mięsa na wieczerzę uważać należy za zwyczaj dla zdrowia ujemny. Jeśli bowiem weźniemy na uwagę, iż trawienie mięsa dobiega do szczytu zwykle w 5—6 godzin po spożyciu, to wydzielenie powstałych przetworów azotowych z przemiany białka mięsnego przypada w takim razie na czas snu. W tym czasie jednak ustrój stara się również pozbyć się wszelkich wytworów życiowych niepotrzebnych, nagromadzonych w ciągu dnia. Następuje więc pewne zagęszczenie tych ciał w sokach ustroju. Taki stan rzeczy oddziaływa szkodliwie na wydzielanie się owych związków jak również na dalszy przebieg procesów przemiany materyi, czego objawem bywa szereg mniej lub więcej przykrych objawów podmiotowych.

Ogólnie znane to zjawisko, iż po spożyciu obfitej, hojnie mięsem urozmaiconej biesiady, budzimy się zazwyczaj rano z uczuciem ciężkości, osłabienia, bolu głowy, nudności. Mocz ranny bywa wtedy barwy ciemno-cisawej i mąci się rychło, wydzielając obfity osad ceglasty, złożony z moczanów. Świadczy to o wzmożonem nad miarę wydzielaniu mocznika i kwasu moczowego, jakoteż urobiliny, powstałej wskutek większego rozpadu ciałek krwi czerwonych pod wpływem szkodliwego działania nagromadzonych w ustroju związków ogólnej przemiany. Jeśli zaś uczcie takiej wieczornej towarzyszy, co zwykle bywa, użycie napojów wyskokowych, to oczywiście obraz tych zaburzeń jest jeszcze wyraźniejszy, przyczem na pierwszy plan wysuwają się objawy ostrego przejściowego nieżytu żołądka. Jakkolwiek nieraz wieczerze mięsne nie sprowadzają objawów aż tego stopnia, to przecież stałe spożywanie wieczorem posiłku, głównie z mięsa złożonego, zwykle po jakimś czasie ujawnia wpływ ujemny na zdrowie. Ze względów tedy zdrowotnych wielce okazuje się pożądanem wprowadzenie w życie wieczerzy bezmięsnej — nie tyle czysto roślinnej, ile roślinno-mlecznej — lub przynajmniej znaczne ograniczenie potraw mięsnych na korzyść roślinnych. Spokojny, skrzepiający sen, świeżość umysłu i pewne uczucie czerstwości nazajutrz — oto zysk takiej strawy wieczornej.

Wojna rosyjsko-japońska.

Paryż. Do *Echo de Paris* donoszą z Petersburga:

Pesymizm w sprawie rokowań pokojowych zaczyna znikać. Witte z rozmowy swej z prezydentem Rooseveltem odniósł wrażenie, że nie jest wykluczone porozumienie się z Japończykami.

Oysterbay. Najpierw przybyli tu na pokładzie wojennego okrętu japońscy pełnomocnicy pokojowi i udali się łodzią na pokład jachtu „Mayflower“, gdzie dano 19 strzałów armatnich na ich przywitanie. W sali jadalnej przedstawił podsekretarz stanu Geirce pełnomocników japońskich Rooseveltowi, który powitał ich w krótkich słowach imieniem rządu Stanów Zjednoczonych.

Niebawem przybyli na pokład yachtu rosyjscy delegaci Witte i Rosen, witani również strzałami armatnimi. Następnie przedstawiono prezydentowi obu Rosyan, wśród podobnego ceremoniału jak Japończyków. Z kolei nastąpiło wzajemne przedstawienie się pełnomocników pokojowych. Podano śniadanie. Prezydent Roosevelt wygłosił następujący toast:

„Wznoszę toast, na który nie będzie żadnej odpowiedzi; proszę panów wysłuchać go w milczeniu i stojąco. Piję na pomyślność obu władców i obu wielkich narodów, których zastępcy spotkali się tu na okręcie. Spodziewam się szczerze i modlę się o to, aby w interesie nie tylko tych obu mocarstw, ale w interesie całej ludzkości zawarty został rychło między niemi sprawiedliwy a trwały pokój“.

Śniadanie odbyło się stojąco, czyli tak zwane *à la fourchette*, dlatego, żeby uniknąć potrzeby rozstrzygania, kto będzie siedział po prawicy Roosevelta, Witte czy Komura?

Po śniadaniu opuścił Roosevelt pokład „Mayflowera“. Japońscy delegaci udali się na pokład „Delfina“, by odjechać do Portsmouth. Rosyjscy zaś delegaci wrócili do Nowego Jorku, skąd pojadą koleją do Portsmouth.

Waszyngton. Ze strony japońskiej zapewniają, że Japończycy pozwolili opuścić wyspę politycznym więźniom na Sachalinie.

Mały feljeton.

NOC.

Przyszła nocka ciemnooka,
Srebrną rosą w kwiaty dzwoni...
Pod ciężarem swych warkoczy
Nad borami głowę kłoni...

Już rozplata czarne włosy,
Rozsypując je w nieładzie...
Własną krasą upojona
Na pierś boru głowę kładzie...

Wplotła w włosy gwiazd rumieńce
I złocony krąg miesiąca
I, przegiąwszy się półsennie,
Słucha szeptów leśnych drżąca...

Szumiejący bór się tęży...
W uniesieniu pierś wygina...
Noc pieszczocie się poddaje,
Jak wdzięcząca się dziewczyna...

Lwów. *Jan Huskowski.*

KRONIKA.

Lwów 7 sierpnia.

W sprawie seminaryów na Sziąsku byli w piątek u p. ministra Gautscha posłowie polscy i czescy, żeby mu podziękować za rozstrzygnienie tej kwestyi. W imieniu posłów polskich przemawiał poseł X. Michejda i podziękował za pozostawienie polskich paralelek w Cieszynie; w imieniu zaś Czechów poseł Hruby oświadczył, że Czesi uważają już tę sprawę za zupełnie załatwioną.

Żeby całkiem usunąć mniemanie, że Polska Ostrawa jest to miasto polskie, że czeskie seminaryum nauczycielskie może ją zczechizować, przytaczamy daty statystyczne z ostatniego sprawozdania komisyi statystycznej przedłożonego parlamentowi. Owóż Polska Ostrawa posiada na 18.805 mieszkańców 2118 Polaków i 690 Niemców, a 16.000 Czechów. Położona jest ona nad rzeką Ostrawicą i tylko mostem oddzielona od Morawskiej Ostrawy, Witkowic i Oderfurtu, tworzących razem zbity kompleks prawie 100.000 Czechów. Jeżeli wic tych 2000 Polaków wśród 100.000-cznej ludności czeskiej nie zczechizowało się dotąd, to oczywiście nie można się obawiać, aby ich zczechizowało seminaryum nauczycielskie.

„Petrolea“. Ministerstwo spraw wewnętrznych zatwierdziło zmiany statutów, uchwalone na nadzwyczajnem walnem zgromadzeniu akcyonaryuszy akcyjnego Towarzystwa dla przemysłu naftowego „Petrolei“, odbytem 26-go października 1904 we Lwowie.

† **Hieronim Adam książę Lubomirski**, hrabia na Wiśniczu i Jarosławiu, ordynat na Rozwadowie, o którego zgonie donieśliśmy onegdaj, urodził się 5 stycznia 1844. Był on synem księcia Adama († 1873) i Karoliny z ks. Ponińskich. Z małżeństwa z p. Felicyą Markiewiczówną pozostało dwoje dzieci: ks. Karolina i ks. Jerzy. Zmarły był bratem Wandy Stanisławowej ks. Lubomirskiej i ks. Adama († 1873), ożenionego z Maryą z hr. Zamoyskich, właścicielką Miżyńca, Sohodnicy, Podhorody i kopalń nafty w Borysławiu. Ks. Hieronim był głową linii Rzeszowskiej tego rodu.

Protoplastą rodu był Piotr z Lubomierza (w dzisiejszym powiecie limanowskim) herbu Śreniawa. Godność hrabiów świętego imperyum (na Wiśniczu i Jarosławiu) otrzymali Lubomirscy w r. 1598 w Pradze. Tytuł książęcy nadanym został tej rodzinie w r. 1647 w Preszburgu, uznanym w Polsce w r. 1774, w Austryi w r. 1786, w Rosyi w r. 1863. Linie: rzeszowska i przeworska wywodzą się od dwóch synów Jerzego ks. Lubomirskiego, marszałka wielkiego koronnego († 1667).

Dziś o godzinie 11 rano odbędzie się w kościele na ul. Rennweg w Wiedniu nabożeństwo żałobne za spokój duszy ś. p. księcia Hieronima, poczem zwłoki jego przewiezione zostaną do Rozwadowa. R. i. p.

Z Kossowa piszą nam: Dnia 4 b. m. odbył się tu odczyt p. Andrzeja Niemojewskiego „O obecnym stanie umysłów w Warszawie“. Ponieważ prelegent od kilku miesięcy nie przebywa w Warszawie i spraw, które jako aktualne z tygodnia na tydzień się zmieniają, dokładnie nie zna, przeto wytrawna większość zgromadzonych tu kuracyuszy w odczycie na dochód „ofiar strejku szkolnego“ udziału nie wzięła, a tylko skromna mniejszość, głównie goście z Królestwa przybyłych, zamiast uspokoić się, na nowo roznamiętniała swoje nerwy.

Dziś 6-go odbyła się tutaj piękna uroczystość poświęcenia nowego gmachu tutejszego „Sokoła“. „Czołem“ wszystkim, których zabiegi dziś zostały uwieńczone w ten sposób.

Wśród gości kossowskich bawi p. Lutosławski twórca „Eleuteryi“.

Niepękające szrapnele. Z Poli donoszą, że robione tam próby ze szrapnelami z roku 1878, 1888 i 1898 wypadły fatalnie. Żadne z tych szrapneli nie chciały pękać. Ministeryum marynarki nakazało w tej mierze surowe śledztwo.

Festyn w Brzuchowicach urządzony wczoraj przez Komitet, na którego czele stała pani prezydentowa Michalska, powiódł się znakomicie. Wzięło w niem udział takie mnóstwo osób, że aż dziesięć pociągów szczelnie napełnionych gośćmi wyjechało wczoraj ze Lwowa do Brzuchowic. Na bursę polską we Lwowie i na upiększenie Brzuchowic wpłynęły z opłat wstępu na festyn bardzo pokaźne sumy.

Strejk na kolejach. Z Warszawy donoszą, że onegdaj w południe zastrejkowali wszyscy robotnicy kolei warszawsko-wiedeńskiej i warszawsko-terespolskiej. Pociągi, dworce i magazyny strzeżone są przez wojsko. Zastrejkował także personal wielkiego Towarzystwa transportowego „Nadieżda“.

Tołstoj i pop Jan Kronsztadzki. Uniwersytet dorpacki zamianował jednocześnie swoimi członkami honorowymi hr. Lwa Tołstoja i popa Jana Kronsztadzkiego. Pop Kronsztadzki odmówił jednak przyjęcia tej godności, motywując swą odmowę tem, że nie podziela poglądów religijnych Tołstoja.

Wieś Stefana Czarnieckiego, słynna Czarnca, w której się on urodził, w której chwile wolne od wypraw wojennych przepędzał, i w której w końcu umarł, przeszła teraz w ręce żydowskie. Nabyło ją Towarzystwo akcyjne Karola Poznańskiego, znanego finansisty warszawskiego.

Oto co o tej wsi znajdujemy w dziennikach warszawskich:

Niedaleko Chęcin, w powiecie włoszczowskim, gubernii kieleckiej, w okolicy lesistej, leży starożytna wieś Czarnca, kolebka i mogiła jednego z bohaterów naszej przeszłości, który nietylko był wielkim wojownikiem, lecz i jako obywatel bez skazy przeszedł do nieśmiertelności. Bohaterem tym — Stefan Czarniecki, pogromca Szwedów, zbawca Rzeczypospolitej, niezrównany partyzant i wódz, prawdziwy sługa ojczyzny, co „nie z soli ani z roli, ale z tego co boli“, urósł na olbrzyma dziejowego.

Urodził się on w roku 1599 we wsi rodzinnej Czarnca, a więc przed sześciu laty minęło trzechsetlecie tego dnia, o którym nikt, zdaje się, społeczeństwu należycie nie przypomniał.

Nietylko urodził się w Czarncy, lecz i tam wywczasu zażywał w rzadkich w swem życiu przerwach pomiędzy służbą żołnierską, oraz tamże złożono jego szczątki śmiertelne. Umarł Czarniecki, jak wiadomo w lutym 1665 r., wracając do domu z bitwy pod Stawiszczami, w której odniósł ranę. Zwłoki na razie odwieziono do Warszawy, skąd jednak wkrótce sprowadzone były do Czarncy i tam w grobach rodziny Czarnieckich pochowane.

A więc skromna dziś wieś we Włoszczowskiem kryje w sobie prochy jednego z największych Polaków i jest skarbnicą wielu po nim pamiątek. Wyróżnia się wśród nich piękna świątynia, ufundowana przez Czarnieckiego w r. 1650. Zbudowana z cegły i kamienia, w stylu rococo, wraz z dzwonnicą, przetrwała do dzisiaj i zawiera cały szereg pamiątek po bohaterze i jego rodzinie. Wnętrze jej zdobią wspaniałe sztukaterye stylowe, a wielki ołtarz należy do unikatów okazałości i smaku. Ołtarz ten trzymany w stylu rococo, otacza szereg postaci rycerskich, co sprawia charakterystyczne wrażenie i odrazu nasuwa myśl, że przez rycerza musiał być fundowany.

Prócz tego w świątyni tej przechowały się następujące pamiątki:

Portret Stefana Czarnieckiego na desce, w postaci rycerza z buławą na koniu;

Krzyż srebrny 1¼ łokcia wysokości, z cyfrą i herbem Stefana Czarnieckiego;

Kielich mały z napisem hetmana, dar Stefana Czarneckiego i jego brata Wojciecha;

Część czapraka, tkanego srebrem, zdobytego na Karolu Gustawie, służąca obecnie za kaptur u kapy;

Dwa ornaty: biały i zielony, z herbami Czarnieckich;

Chrzcielnica marmurowa, artystycznej roboty, z herbami Czarnieckich;

Opis założenia kamienia węgielnego z roku 1640;

Ławki w kościele dębowe z herbami;

Mały, obozowy obraz N. M. Panny na blasze srebrnej;

Trzy dzwony najznaczniejsze w okolicy, z których jeden ma ważyć przeszło 3.000 funtów.

Wreszcie kilka napisów łacińskich i polskich na tablicach marmurowych, a pomiędzy niemi grobowa tablica Stefana, na której wyliczone są godności i zwycięstwa wielkiego rycerza.

W pobliżu kościoła stał niegdyś zamek, z którego atoli obecnie nie zostało nic, prócz domniemanego miejsca, nazywanego przez lud „zamczyskiem“.

Czarnca przechodziła w różne ręce: w r. 1560-ym dziedziczyli ją Leszczyńscy, później Działyńscy, Modliszewscy, Gogolewscy i Makólscy. A teraz przeszło na własność Tow. akc. izraelickiego Karola Poznańskiego, które w okolicy tej ma rozległe dobra i zakłady przemysłowe w Nieznanowicach.

Stara świątynia, pod wpływem czasu, uległa podniszczeniu. Parafia nieduża i niezamożna, nie może na nią łożyć. To też pamiątkowy ten kościół domaga się zasiłku z zewnątrz. Trzebaby go odnowić, gruntownie zreparować, niejedno w nim podeprzeć, niejedno odświeżyć. Nowi nabywcy Czarncy, pp. Poznańscy, wyrazili gotowość złożenia kilkuset rubli na ten cel. Dobre i to — ale nie wystarczy, więc z dalszą pomocą powinni pośpieszyć ziemianie z sąsiedztwa, wśród których nie brak ludzi zamożnych i poczuwających się niewątpliwie do obowiązku konserwowania tak pięknego i pełnego wspomnień zabytku...

Drugą myśl chcemy poddać naszemu Towarzystwu fotograficznemu. Rozpoczęło ono w b. r. wędrówki do miejsc pamiątkowych, z których dokonywa zdjęć. Niechże nie przeoczy w swym programie Czarncy. Pamiątki po wielkim rycerzu powinny znaleźć się w zbiorach Tow. oraz być rozpowszechnione w ilustracyach i odbitkach.

Wartoby pomyśleć i o monografii kościoła. Słyszeliśmy, iż zamierza ją opracować obecny proboszcz z Czarncy, X. Karol Rogulski. Praca ta powinna znaleźć nakładcę, a wydawnictwu nie zabraknie z pewnością nabywców.

Głosowanie nad konstytucyą rosyjską. Według wiarygodnych relacyj na odbytej pod prezydencyą cara w pałacu w Peterhofie radzie koronnej za koniecznością reform wyrazić się miał sam car, a oprócz niego wielcy książęta Michał Alexandrowicz, Włodzimierz i Alexy Aleksandrowicze. Bułygin, Trepow, hr. Solski, hr. Ignatiew, Frysz, Wierchowskij i baron Budberg podnieśli, że sytuacya wymaga daleko posuniętych reform i silnej władzy centralnej. — W debacie nad zwołaniem soboru ziemskiego za zwołaniem oświadczyli się: Bułygin, Trepow, br. Budberg, br. Nolde, Gołubow, Frysz, Rychter, hr. Ignatiew, Tagancew, Naryszkin, Goleniszczew-Kutuzów, Chiłkow, Tanajew, Czychaczew, Wierchowskij i br. Uexküll; przeciw zwołaniu soboru przemawiali Pobiedonoscew, Fredericks, Lamsdorff, Manuchin, Łobko, Schwannenbach i Szyryński-Szychmatow. Niezdecydowane stanowisko zajęli Roediger, Głazow, Kokowcew i Połowców. O sytuacyi wewnętrznej doniosłe dane przytoczył hr. Ignatiew.

Ze sprawozdań szkolnych. Państwowa akademia handlowa ogłosiła świeżo drukiem swoje sprawozdanie za rok szkolny 1904/5. Akademia złożona jest z dwóch zakładów: właściwej akademii, tj. wyższej szkoły handlowej, której zadaniem jest kształcić pracowników handlowych na samodzielnych kupców, kierowników, prokurzystów lub komisyonerów, akwizytorów itp. przy wielkich interesach handlowych, i z działu drugiego uzupełniającej szkoły handlowej, której zadaniem jest dać sposobność osobom, będącym w praktyce handlowej, rozszerzyć zakres swoich wiadomości, a tem samem podnieść swoją zdolność zarobkową.

Akademia właściwa liczyła z początku roku szkolnego 88 uczniów, z których 23 opuściło zakład przed ukończeniem roku. Według wyznania było w liczbie pozostałych 44 rzymsko-katolików, 13 greko-kat. i 22 izraelitów. Według narodowości było 58 Polaków i 11 Rusinów. W klasyfikacyi dodatni stopień otrzymało 42, w tem dwaj stopień celujący, a 12 otrzymało absolutoryum z ukończenia studyów w zakładzie; szesnastu przeznaczono do egzaminów poprawczych, a 11 przepadło.

Do uzupełniającej szkoły handlowej [illegible]

się 74 uczniów, z których do końca roku dotrwało 55. W tej liczbie było 40 rzym.-katolików, 8 greko katolików, 2 ewangelicy i 4 izraelici; 46 było Polaków, 8 Rusinów i jeden Czech. Pięćdziesięciu z tych uczniów było zajętych jako praktykanci handlowi lub kantorzyści. Pięciu było bez zatrudnienia. Dziesięciu uczniom wydano świadectwo ukończenia kursów uzupełniających.

Dyrekcya Akademii miała do dyspozycyi różnych zasiłków i stypendyj dla uczniów razem 2770 koron. Na rok przyszły (1905/6) oprócz tej kwoty rozporządzać będzie dyrekcya jeszcze siedmioma państwowemi stypendyami po 300 koron rocznie, a więc razem sumą 4.870 koron.

Akademia urządziła za zleceniem ministeryum między 29 maja a 22 lipca br. kurs dalszego kształcenia nauczycieli niższych szkół przemysłowych. Na kurs ten uczęszczało z polecenia Rady szkolnej krajowej piętnastu nauczycieli, na których utrzymanie w czasie trwania kursu wypłacił Wydział krajowy 3360 koron zasiłku. W zimie urządziła akademia z własnej inicyatywy, a za zezwoleniem ministeryum kupiecki kurs dla dorosłych. Na tym kursie wykładano buchalteryę pojedyńczą i podwójną w interesach towarowych, buchalteryę w interesach bankowych, rachunki kupieckie i polską korespondencyę handlową. Na różne działy tego kursu zapisało się razem 97 osób, z których 88, w tem 20 kobiet, kurs ukończyło, a 62 zdało egzamin odpowiedni z dodatnim postępem.

Dyrekcya Banku krajowego i Dyrekcya gal. Kasy oszczędności postanowiły urządzić dla najmłodszych swoich urzędników wieczorny kurs, któryby rozszerzył zakres ich fachowych wiadomości. Pomiędzy obiema dyrekcyami a Akademią został zawarty odpowiedni układ i Akademia urządziła w czasie od listopada ubiegłego roku do końca czerwca br. stosownie obmyślany kurs buchalteryi, rachunków kupieckich i korespondencyi. Nauka odbywała się cztery razy tygodniowo między godziną 6—8 wieczorem. Uczęszczało na niej 30 urzędników Banku krajowego i 10 gal. Kasy oszczędności.

Oprócz tego odbywały się w Akademii przed osobnemi komisyami egzamina zgłaszających się osób prywatnych z buchalteryi, korespondencyi kupieckiej, rachunków kupieckich i towaroznawstwa.

Pierwsze wpisy na przyszły rok szkolny już się odbyły; drugie odbędą się: do akademii 1-go września, do uzupełniającej szkoły handlowej 12, 13 i 14 września. Aby być przyjętym do akademii trzeba się wykazać dobrem świadectwem czwartej klasy gimnazyalnej. Mogą być również przyjęci uczniowie, którzy ukończyli szkołę wydziałową, ci jednak muszą się poddać egzaminowi, skromnemu zresztą pod względem wymagań. Wpisowe wynosi 4 korony, a półroczne czesne, od którego mogą być uwolnieni pilni uczniowie, wynosi 40 koron za półrocze. Do uzupełniającej szkoły handlowej mogą być przyjęci ci wszyscy, którzy ukończyli szkołę elementarną, co do których istnieje przymus szkolny, a więc sześć lat nauki. Ci, którzy ukończyli z dodatnim postępem trzecią klasę gimnazyalną (bez greki) mogą być przyjęci odrazu na drugi kurs. Czesnego się nie opłaca, wpisowe i datek na przybory szkolne wynoszą razem 4 korony. Nauka odbywa się trzy razy tygodniowo od 3—5 po południu.

Podział ludności Warszawy według narodowości. Jako miernika dla oznaczenia narodowości w spisach ludnościowych w Królestwie polskiem używa statystyka tak zwanego języka rodzinnego. Otóż kiedy przy spisie ludności w r. 1882 aż 90% osób podało w Warszawie jako język rodzinny język polski, to przy ostatnim spisie w 1897 r. (z którego dopiero teraz, to jest w 8 lat po jego dokonaniu biurokracya rosyjska wydała sprawozdanie), cyfra ta spadła do 61%. Stało się to dzięki propagandzie rządu rosyjskiego i dzięki manipulacyi statystycznej. Kiedy bowiem w roku 1882 na 127,917 ludności izraelickiej w Warszawie tylko 10.031 podało jako język rodzinny język żydowski, a 117,886 ludności izraelickiej przyznało się do języka polskiego, jako języka rodzinnego, to w r. 1897 na 219.128 ludności izraelickiej tylko 28.809 podało jako język rodzinny język polski, a 184.795 izraelitów podało *język żydowski*, jako język rodzinny.

Jest to fakt bardzo smutny ze względu, że statystyka w Warszawie będzie grała niebawem w Rosyi bardzo ważną rolę skoro tylko zaprowadzoną tam zostanie konstytucya.

Sprawa narodowa na Kaszubach. Mówiąc o Kaszubach, mamy głównie na myśli kilka powiatów zachodnio-pruskich i część prowincyi pomorskiej, a mianowicie ziemię lęborsko-bytowskie, w przestrzenie na których utrzymał się jeszcze język kaszubski.

Powiaty lęborski i bytowski nastręczają sporo ciekawego materyału do dziejów kaszubskich, jednak w zapasach obecnych politycznych nie odgrywają one znaczniejszej roli. Rodziny polsko-kaszubskie stamtąd się wywodzące, nie od dawna się po części zniemczyły jak np. Podkomorzowie (Podkameny, Puttkamery) albo Jarkowie, z których pochodzi znany pruski generał Jan Dawid Ludwik York von Wartenberg, który jako major walczył w roku 1794 przeciwko Kościuszce pod Szczekocinami, albo też wywędrowały się na wschód do Prus Zachodnich i tam doszły do pewnego znaczenia, jak naprzykład Jantowie z Połczna, którzy dlatego pisują się Połczyńskimi i znani są w Wielkiem Księstwie Poznańskiem. Wielu też służąc w pułkach pruskich, zgermanizowało się zupełnie.

Dlatego też w spisach oficerów pruskich nazwiska polsko-kaszubskie pokaźną przedstawiają liczbę, że tylko tu wymienimy Trzebiatowskich z Trzebiatowa pod Rekowem, Rekowskich z Rekowa, Gostkowskich z Gostkowa i t. d. Dłuższa przynależność ziemi lęborskiej i bytowskiej (od r. 1657) do Brandenburgii i Prus wystarczyła, że inteligencya tych okolic oddawna czuje się wcale nie polską lub kaszubską, lecz pruską i nie lęka się. Kaszubszczyzna zachowała się już tylko u ludu i wśród drobnej szlachty tu i owdzie jeszcze rozsianej, jak np. w parafii ugoskiej i miejscowościach okolicznych. Są tu jednak rodziny Dąbrowskich z Dąbrowy, Kłączyńskich z Kłączna i inni, ale to mniejsze rodziny.

Inteligencyi, kierującej sprawami politycznemi polsko-kaszubskiemi nie ma tam wcale. Lud sam na przebudzenie czeka wytrwale, pora się jak może ze stosunkami obecnymi; i tak: p. Michał Koszałka, krawiec z Lęborka, prezes tamtejszego Towarzystwa św. Brunona, występuje dość często na widowni, a prowadzi dość pracuje dość dobrze; działaczy polskich z wśród kupców, jako z wkładami mienia.

Przewodnictwo duchowe osób doświadczonych przyczyniłoby się do tego, że można tam niejedno zachować od zatraty, niejedno też odzyskać. Ze względu na to u Niemców i ich przyjaciół narodowych przed kilku laty uderzono na wielki alarm, kiedy p. Wiktor Kulerski, redaktor *Gazety Grudziądzkiej* wystąpił jako kandydat do sejmu z powiatów: lęborskiego i bytowskiego i rozesłał wydrukowane odezwy, choć kandydatura ta miała tylko ten cel, aby policzyć głosy polskie i zbadać teren pod względem politycznym. Większą jeszcze trwogą przejęto się, kiedy minister pruski, chcąc pozyskać opinię publiczną Niemiec dla ścigania Polaków, skłamał w sejmie pruskim i powiedział, że Polacy na Pomorzu nabyli już 40 majątków.

Nabytki takie rzeczywiście mogłyby wzbudzić w tych dawnych zakątkach słowiańskich pamięć tego, co dawniej było — ale Polacy nie zdobyli się na takie czyny. Owe 40 majątków zredukowano potem, kiedy prasa polska zaczęła hakatystów pruskich przypierać do muru, do dwóch, ale i o tych nic bliższego dowiedzieć się nie było można. Zdaje się, że co do jednego majątku, rąbek zasłony odchylić możemy. W pomorskiej prowincyi bowiem, pod Bytowem kupił pan Rutz folwark Udorp (Hugendorf). Pan Rutz uchodzi u wielu jako Polak, ale niesłusznie. Ojciec jego ś. p. Jan Rutz, właściciel Osusznicy w powiecie człuchowskim, posłował wprawdzie z obozu Kaszubów do Berlina, wychowanie miał jednak przeważnie niemieckie, a nie znając dokładnie języka polskiego, pisywał listy do dzieci swych po niemiecku i po niemiecku dzieci też wychowywał. Przez ożenki Rutzów z Polkami, jest w nich także i krew polska, ale mimo to, Rutzów z większą racyą uważać można za Niemców, jak za Polaków. Wprawdzie w ludzie kaszubskim głęboko zakorzenione jest przysłowie: „Nie przyjdą Kaszuby nigdy do zguby“, ale, jak na teraz polska i kaszubska własność ziemska w prowincyi pomorskiej pod względem politycznym nie wchodzi w rachubę.

Tajemnice handlowe. Londyńska *Daily Mail* donosi, że rodzina Rotszyldów ofiarowała wygnanym z Francyi Kartuzom 20 milionów franków za sekret słynnego likieru Chartreuse, którego smak oryginalny pochodzi z mieszaniny 50 roślin i ziół. Zysk czysty z wyrobu tego likieru określić można średnio liczbą trzech milionów franków rocznie. Mnisi odrzucili bez namysłu ofertę Rotszyldów.

Równie cenna jest tajemnicza recepta benedyktynki. Recepta ta zaginęła podczas rewolucyi francuskiej i dopiero po odnalezieniu jej w r. 1802 można było przystąpić ponownie do fabrykacyi słynnego na świecie całym likieru. Prawdziwym skarbem jest także recepta sekretna dla wyrobu atramentu, używanego do druku banknotów Stanów Zjednoczonych. Tylko jeden człowiek zna tajemnicę tego atramentu. Odziedziczył on receptę po swoim ojcu, wynalazcy cennego preparatu, który przekazał ją synowi na łożu śmierci pod tym warunkiem, że nie odprzeda jej nikomu, a zdradzi ją tylko własnemu synowi lub jednemu z najbliższych krewnych, gdy i jemu śmierć w oczy zajrzy. Rząd Stanów Zjednoczonych atramentu tego wyrzec się nie może, bo żaden inny nie wywołuje na papierze, używanym do banknotów, owych oryginalnych efektów kolorystycznych, których jeszcze nikomu naśladować się nie udało. Fabrykant atramentu otrzymuje od rządu 200.000 koron rocznie, prócz niezbędnych do fabrykacyi materyałów surowych, i za to pracuje tylko dwa tygodnie w roku. Sześciu ludzi pracuje bez przerwy, aby przysposobić poszczególne składniki atramentu, a gdy już wszystko jest przygotowane, wystarcza dla właściciela sekretu praca dwutygodniowa, aby w szczelnie zamkniętem laboratoryum spreparować tyle atramentu, ile rząd Stanów Zjednoczonych potrzebuje dla fabrykacyi banknotów.

W posiadaniu podobnej, niemal czarodziejskiej recepty dla zarabiania milionów jest właściciel papierni w Laverstoke, dostarczającej papieru, z którego Bank angielski wyrabia wszystkie swoje banknoty. I atrament, używany do tych banknotów, sporządzony jest według przepisu sekretnego. Tyle tylko wiadomo, że do fabrykacyi potrzebne są węgle drzewne i wino reńskie.

Są także właściciele winnic i kiprzy, którzy posiadają recepty tajemnicze dla wyrobu przednich gatunków win rozmaitych. I tak np. piwniczny tak zwanego „Mansion House“, pałacu londyńskiego lorda-burmistrza, jest w posiadaniu sekretnej, przekazanej mu przez jego poprzedników recepty, według której fabrykuje się specyalny gatunek wina dla „puharu honorowego“, który podczas wielkich uroczystości w ratuszu krąży przy stole pod koniec bankietów. Każdy, kto pił ten napój cudny, pozna odrazu, że podstawą mięszaniny jest jakieś ciężkie wino czerwone, ale innych ingredyencyi, które winu nadają niezrównany aromat, nikt jeszcze nie odgadł.

Oysterbay. W depeszach o przygotowaniach do konferencyi pokojowej czyta się często tę nazwę.

Oysterbay, jestto letnia rezydencya prezydenta Roosevelta i leży nad zupełnie odosobnioną zatoką Long Islandu. Tam-to na Sagamore Hill, wznosi się willa prezydenta Stanów Zjednoczonych. Long Island jest wyspą podłużnego kształtu, której część zachodnia dotyka niemal lądu i połączona z nim za pomocą mostów, tworzy dzielnicę 4-milionowego kolosa nowojorskiego.

Oysterbay ma połączenie kolejowe z Brooklynem, dzięki czemu ruch tam panuje bardzo ożywiony. Letnią zwłaszcza porą wybrzeża Long Islandu zabudowane willami, obramione mnóstwem kabin dla kąpieli morskich — roją się od letników.

Ze wszystkich punktów wyspy największą oczywiście atrakcyą cieszy się Oysterbay, jako rezydencya głowy państwa.

Przebywając tu w czasie skwarów, o jakich my w Europie nie mamy pojęcia, uprawia Roosevelt z całą pasyą sport wioślarski, a nie rozstaje się z rodziną w swych przejażdżkach łódką. Przejażdżki te trwają zwykle długo, więc też ogromne kosze prowiantu bierze zawsze prezydent na drogę.

Najczęściej celem wycieczki bywa prawdziwie uroczo położone Lloyds Reck. Stanąwszy u celu, prezydent rozbija namiot i w nim nocuje. Sporządzenie wieczerzy jest wówczas obowiązkiem synów, nad którymi jednak w ważnej tej pracy rozciąga ojciec baczną kontrolę.

Po wieczerzy gromadzi się cała rodzina dokoła prezydenta i wypoczywając na matach lub derach, słucha zajmujących jego opowiadań z życia sportowego, z wypraw na białe niedźwiedzie, lwy górskie itp.

W ostatniej takiej „Camping expedition“ towarzyszyli prezydentowi synowie: Teodor, Archie i Kermit, wnukowie: Jack, Filip i Jerzy Rooseveltowie i dwaj inni młodzi krewni. Prezydent był w wybornym humorze, żartował i figle wyprawiał, w niczem nie ustępując młodym towarzyszom.

Temperatura dnia 4 sierpnia o godz. 7 rano wynosiła: w Galicyi zachodniej +23, we Lwowie +22, w Tarnopolu +23, w Czerniowcach +23, w Wiedniu +21, w Salcburgu +23, w Gracu +19, w Pradze +19, w Tryeście +25, w Abbazyi +22, w Raguzie +27, w Budapeszcie +24, w Berlinie +22, w Hamburgu +27, w Monachium +20, w Zurychu +17, w Genewie +21, w Lugano +20, w Anglii +17, w Paryżu +17, w Biarritz +24, w Nizzy +25, w północnych Włoszech +23, we Florencyi +23, w Rzymie +24, w Neapolu +24, w Palermo +26, w Madrycie +20, w Sztokholmie +17, w Petersburgu +13, w Wilnie +14, w Warszawie +20, w Moskwie +16, w Kijowie +20, w Odesie +24, w Serajewie +18, w Belgradzie +25, w Bukareszcie +24, w Sofii +20, w Konstantynopolu +25, w Atenach +26. (Temperatura według Celsiusza).

Deszcze tylko we Francyi i w Anglii. Zresztą wszędzie pogoda. Straszne upały w Czechach, w Galicyi, w Wiedniu, w Dolnej Austryi, na Węgrzech i na półwyspie Bałkańskim.

Zmarli. W Przemyślu Antoni Sas Smolnicki, urzędnik wydziału Rady powiatowej, w 54 roku życia.

Ofiary. Na odrestaurowanie rz. kat. kościoła w Kocmaniu na Bukowinie złożyła p. Emilia Garusowa ze Lwowa 2 K.

Dla zagrożonej kataraktą nauczycielki otrzymaliśmy od p. J. L. ze Lwowa 1 K.

Stan powietrza. T. o g. 7 rano + 20 R. w poł. + 27 R. Bar. 763. Spada. Upał. Zanosi się na deszcz.

Zrozumiałe.

— Nie rozumiem, jak się pan możesz śmiać z głupich dowcipów Zeta...

— A przecież to takie zrozumiałe — winien mu jestem 500 koron.

Widowiska i koncerty.

Colosseum w Pasażu Hermanów. Pierwszorzędny i największy teatr rozmaitości. Od 1 do 15 sierpnia zupełnie nowy, światowy program familijny. Przedstawienia odbywają się we wspaniale urządzonym ogrodzie, w czasie deszczu w odnowionej sali. Początek o godz. 8 wieczorem. W niedzielę i święta dwa przedstawienia: o godz. 4 pop. i 8 wieczorem.

Część ekonomiczna.

Wiedeń, 5 sierpnia.

(Z.) Z Belgradu donoszą, że podobno nowa międzynarodowa grupa bankierska narzuca się obecnie rządowi serbskiemu ze swą ofertą pożyczkową. Ma to być grupa belgijska, złożona z banku „Société Générale de Bruxelles“, banku międzynarodowego w Amsterdamie i szwajcarskiego banku kredytowego. Ofiaruje ona podobno Serbii 4 procentową pożyczkę na uzbrojenie po kursie 95 za 100 i nie stawia żadnych warunków co do tego, jakie obstalunki ma Serbia zrobić za pożyczone pieniądze i gdzie. Ta sama grupa bankierska chce podobno założyć w Belgradzie osobny bank z kapitałom 20 milionów franków, który między innemi zająć się ma udzielaniem oficerom i urzędnikom serbskim długoterminowych pożyczek na 6%. Nadto ma ten bank finansować także nowopowstać mające koleje serbskie. Wedle innej wersyi grupa ta ofiaruje rządowi serbskiemu 50 milionów franków na 5% po kursie 97 za 100, a jako gwarancyi żąda części nadwyżki, jaką dają monopole serbskie. Nadwyżka ta wynosi 7 milionów franków rocznie, a owa grupa bankierska żąda, by jej odstąpiono $3^1/_2$ milionów.

Bank rolniczy we Lwowie. Lwów 5-ego sierpnia. (Dziś notujemy za 50 kg. *loco* Lwów. Waluta koronowa). Pszenica gotowa od 8·15 do 8·30, pszenica nowa od 7·50 do 7·75, żyto gotowe od 6·25 do 6·40, żyto nowe od 5·75 do 6·00, owies obroczny gotowy od 6·90 do 7·10, owies obroczny nowy od 5·25 do 5·50, jęczmień pastewny od 6·00 do 6·25, jęczmień browarniany od 0·00 do 0·00, rzepak od 10·75 do 11·00, lnianka od —·— do —·—, groch pastewny od 6·25 do 6·75, groch do gotowania od 8·00 do 9·50, wyka od —·— do —·—, bobik od 0·00 do 0·00, hreczka od —·— do —·—, kukurudza nowa od 0·00 do 0·00, kukurudza stara od 0·00 do 0·00, chmiel za 56 kilo nowy od 70·— do 75·—, koniczyna czerwona od 50·— do 60·—, koniczyna biała od 50·— do 55·—, koniczyna szwedzka od —·— do —·—, tymotka od —·— do —·—.

Spirytus paritas Tarnopol gotowy od 36·25 do 36·50, na termina —·— do —·—, ekskontyngentowany od 25·25 do 25·50.

Jedynie co do gotowego zboża (pszenicy i żyta) usposobienie lepsze, inne produkta notują niżej.

TELEGRAMY „PRZEGLĄDU“.

(Depesze poranne).

Helsingfors. Senat finlandzki wysłał swego czasu prośbę do cara, zwracając uwagę, że projektowane przez rząd odebranie politycznych zbrodni kompetencyi miejscowych sądów a przekazanie rosyjskim sądom wojennym sprzeciwia się zasadniczym ustawom finlandzkim; w Finlandyi bowiem od r. 1825 nie była stosowaną kara śmierci, którą natomiast sądy wojenne nakładają za zbrodnie polityczne.

Gdy dziś dowiedziano się, że car nie uwzględnił powyższej prośby, zebrali się przedstawiciele partyi robotniczej na zgromadzenie i po szeregu ostrych przemówień uchwalili zaprotestować przeciw temu zarządzeniu, z którego mogą wyniknąć zgubne skutki. Uchwalono również urządzić w najbliższym czasie wielką demonstracyę.

Ischl. Wczoraj rano przybyli tu rosyjscy attachés wojskowi pułkownik Roop i podpułkownik Marczenko. Obaj byli przed południem u Cesarza na posłuchaniu.

Cherbourg. Francuska eskadra odpłynęła wczoraj wieczór do Cowes.

Malaga. Wskutek gwałtownej polemiki i nieprzyjęcia wyzwania przyszło w tutejszym kupieckim klubie do sprzeczki między czterema radnymi miejskimi, podczas której wiodący spór dali strzały rewolwerowe. Jeden z radnych padł trupem, dwaj są ciężko ranni.

Berlin. *Nordd. Allg. Ztg.* donosi, że według telegramu gubernatora, w niemieckiej Afryce wybuchły wśród tubylców koło gór Matumbis rozruchy. Postanowiono wysłać tam wojsko.

Tanger. Sułtan marokkański wyraził w formalny sposób zdanie, że konferencya marokkańska nie powinna w żadnej innej miejscowości obradować, jak tylko w Tangerze.

Rzym. Onegdaj wieczorem około 10 godziny wybuchł w magazynach na dworcu Termini pożar; spaliła się część budynku i pewna liczba wagonów.

Ischl. Przybył tu szef sztabu jeneralnego bar. Beck.

Wiedeń. Prezydent ministrów bar. Gautsch odjechał wczoraj popołudniu do Ischlu.

(Depesze popołudniowe).

Berlin. *Berliner Tageblatt*, omawiając pogłoskę o zjeździe króla Edwarda VII z cesarzem Wilhelmem, zwraca uwagę na to, że król Edward nigdy jeszcze dotąd nie był w Berlinie, lecz zawsze się spotykał z cesarzem Wilhelmem to w Kielu, to we Frankfurcie, to gdzieindziej, i to więcej jako spotsman i kuzyn, niż jako król Anglii.

Nowy Jork. Dzienniki podają rozmowę niektórych dziennikarzy amerykańskich z Wittem. Na zapytanie, czy Rosya zapłaci Japonii koszta wojenne, odpowiedział Witte: „Co do tych kosztów wojennych, to właściwie nie Japonia od nas, ale my od Japonii mamy wszelkie prawo ich żądać, boć przecie my nie wypowiadaliśmy wojny, tylko Japonia nam ją wypowiedziała i zmusiła nas do kolosalnych wydatków. Gdyby to nie były dwa mocarstwa, ale dwie osoby prywatne, to nie ulega najmniejszej wątpliwości, że każdy trybunał cywilny w Europie przyznałby nam odszkodowanie, a Japonię skazał na koszta bójki i koszta leczenia“. A na zapytanie o Sachalinie, odparł Witte: „Myśmy się domagali Sachalinu i swojego czasu odstąpiła nam go Japonia dlatego, że Sachalin jest właściwie drzwiami do Syberyi. Kto ma Sachalin, ten ma drzwi do naszego państwa otwarte. Jakże można żądać od kogoś, aby mieszkał w budynku z drzwiami otwartemi“.

Petersburg. Pan Izwolski, poseł rosyjski przy dworze duńskim, przybył tu z listem własnoręcznym cesarza Wilhelma do cara. We środę cesarz Wilhelm poprosił, aby do niego zawezwano Izwolskiego z Kopenhagi, miał z nim przeszło godzinną konferencyę, potem list napisał i prosił go, aby ten list zawiózł natychmiast do Petersburga.

Paryż. Wczoraj w cyrku na Polach Elizejskich odbyła się w obecności dziennikarzy i władz rządowych, jakoteż profesorów gimnastyki w szkołach francuskich próba japońskiej metody walki, zwanej *dżukitsu*. Metoda ta — jest to tryumf człowieka inteligentnego, ale fizycznie słabego nad głupią siłą brutalną. Polega ta walka na tem, że Japończyk wyzyskuje słabe strony organizmu ludzkiego. Na mocy długich badań doszli Japończycy do wykrycia rozmaitych punktów w organizmie ludzkim, które, naciskane silniej, oddziaływują osłabiająco na cały organizm. Japończyk, walcząc zapomocą *dżukitsu*, chwyta najprzód pewne mięśnie żołądka swojego przeciwnika i ściska je mocno. Ściśnięcie to tak dalece osłabia przeciwnika, że ten nie stawia oporu i pozwala chwycić siebie za gardło. Chwytając zaś za gardło, Japończyk bynajmniej nie dusi przeciwnika, lecz znowu pociska pewne punkty na szyi w taki sposób, że przeciwnik traci do reszty energię i daje się powalić na ziemię, jak małe dziecko.

Próba rozpoczęła się od prelekcyi, wypowiedzianej przez jednego z Francuzów, uproszonych do tego z pomiędzy gimnastyków. Następnie przystąpiono do czynów. Wystąpił na arenę najsilniejszy dziś atleta francuski, który umyślnie w tym celu przyjechał z Grenobie. Był to mężczyzna rosły, o kolosalnych mięśniach. Przeciw niemu wystąpił szczupły, małego wzrostu Japończyk. Z audytoryum zaczęto głośno krzyczeć: „Dawid i Goliat!“ Olbrzymi Francuz z pewną ironią traktował całą tę sprawę. Na dany znak rzucili się na siebie przeciwnicy. Olbrzym porwał małego Japończyka i podniósł go ku górze. Wszyscy byli przekonani, że jak go ciśnie o ziemię, to w kawałki roztrzaska. Tymczasem nietylko go nie cisnął, ale sam się zachwiał i Japończyka wypuścił. Po chwili zczepili się drugi raz, ale najwyżej w 3 sekundy Francuz padł na ziemię, a Japończyk go obrócił i plecami przycisnął do podłogi. Sala zabrzmiała szalonymi oklaskami. Po chwili olbrzym francuski wstał i powiedział, że muszą tu być chyba jakieś czary, bo od początku walki, zaledwie go Japończyk dotknął, stracił on zupełnie siłę.

Japończyk ten został zaangażowany przez rząd francuski do dawania lekcyi *dżukitsu* profesorom gimnastyki w szkołach francuskich.

Warszawa. Tutejszy korespondent *Nowego Wremienia* wystąpił z projektem, aby byłym unitom rozdawać po trzy morgi gruntów skarbowych pod warunkiem, jeżeli nie będą przechodzili na katolicyzm, lecz zostaną przy prawosławiu.

Piza. Z Monachium donoszą, że aresztowano tam dwóch Włochów, niejakich Passera i Baccini, którzy ukradli obraz Matki Boskiej z kościoła św. Mateusza w Pizie, pendzla Piera della Vaga, ucznia Rafaela. Obraz ten uchodził za arcydzieło.

Nowy Jork. Witte otrzymał mnóstwo telegramów od osób znajomych w Rosyi i zaprzyjaźnionych z nią, jakoteż od grup rozmaitych i korporacyj w Rosyi. Wszystkie te telegramy wzywały go, aby nie zawierał pokoju, ubliżającego honorowi Rosyi. Między tymi telegramami był jeden od Liniewicza. Opiewał on jak następuje: W imieniu 600.000 żołnierzy rosyjskich stojących pod bronią w Mandżuryi, pałających chęcią zemszczenia się, wzywamy Cię, Panie, żebyś nie zawierał wcale traktatu pokoju.

Witte w piątek jeździł w automobilu po Nowym Jorku. Więc pojechał najprzód na Vtą avenue (bulwar), gdzie się znajdują pałace wszystkich miliarderów amerykańskich, potem pojechał do parku miejskiego, wreszcie oświadczył ochotę zwiedzenia wschodniej części miasta, bardzo ubogiej, a zamieszkałej przez wychodźców żydowskich z Rosyi. Członkowie poselstwa rosyjskiego w Waszyngtonie, którzy tu przybyli, aby towarzyszyć Wittemu, zwrócili jego uwagę na to, że wędrówka do owego kwartału jest bardzo niebezpieczną. Witte jednak zaśmiał się z tego i powiedział: „Ja się nie boję!“ i zwracając się do bar. Rosena, byłego posła rosyjskiego w Japonii, rzekł: „Jedź baronie ze mną, nic ci się nie stanie!“

W handlowych i przemysłowych ulicach, gdzie wskutek wielkiego ruchu, automobil Wittego musiał jechać pomału, publiczność dowiedziawszy się, że to jest Witte, zaczęła mu podawać rękę i ściskać się z nim, jak to Amerykanie mają zwyczaj. Witte ściskał się ze wszystkimi, zdejmował kapelusz, kłaniał się i od czasu do czasu wołał: „Niech żyje Ameryka!“ Wieczorem zaś konferował z Morganem, jednym z najbardziej aktywalnych dzisiaj miliarderów. Morgan ogłasza w dziennikach, że mu wręcz oświadczył, iż jeżeli Rosya zawrze pokój i da konstytucyę, to na bardzo dobrych warunkach może dostać pożyczkę w Ameryce. W przeciwnym razie ani myśleć o pożyczce; on pierwszy będzie przeciw niej agitował.

Kraków. Przybył tu z Rzymu generał Zakonu Braci mniejszych św. Franciszka O. Dyonizy Schuler z sekretarzem, oraz O. Pireneusz Birnbaum, wizytator z Saksonii, celem wizytowania klasztorów w Galicyi.

Warszawa. W Bilczy niedaleko Łucka, krewny właścicielki tych dóbr hrabiny Sołtanowej, uczeń gimnazyalny z Warszawy, Feliks Krasuski zastrzelił z dubeltówki swego korepetytora, słuchacza warszawskiego uniwersytetu Kazimierza Konopackiego, poczem sam życie sobie odebrał. Powodem zamachu była miłość obu do pewnej panny, do której desperat również strzelił, ale chybił.

Kraków. Dziś o godz. 10 rano odbyło się oficyalne odebranie zamku królewskiego na Wawelu z rąk budowniczego wojskowego. Kraj reprezentowali członek Wydziału krajowego Wereszczyński, dyrektor Hendel i inspektor zamku Denker. Ze strony wojskowości obecni byli: zastępca komendanta twierdzy podpułkownik Fiałkowski, intendent wojskowy major Czerkawski, dyrektor budownictwa wojskowego Lustig i radzca rachunkowy pułkownik Heller. Odebrano klucze od wszystkich bram zamkowych i poszczególnych komnat, poczem obchodzono całe wzgórze. Na własność kraju przechodzą wszystkie mury wraz ze stokami wzgórza, oraz część wschodnia zamku ze wszystkiemi zabudowaniami. Akt notaryalny zostanie wygotowany dziś popołudniu.

Biuro korespondencyjne nie dostarczyło nam dziś popołudniu żadnych depesz. Linia telefoniczna ma być znowu przerwana. Nasuwa się pytanie dlaczego tylko w Austryi tak się ciągle psuje telefon? Otóż w dziennikarskich sferach opowiadają sobie, że ilekroć tym panom w Wiedniu nie chce się w upały pracować, tylekroć po prowincyonalnych stolicach jest ogłaszane, że telefon jest przerwany. Stąd urosła fama, że telefony austryackie są tak złe, że najgorsze na kuli ziemskiej.

Wiedeń 7 sierpnia. (Giełda towarowa). Cukier 22·50—22·60 (spokojnie), na październik i grudzień 20·85—20·95. — Spirytus: 38·80—39·20 (słabo). — Nafta galicyjska bez zmiany.

Ruch pociągów kolejowych.

ważny od 1 maja 1905 według czasu środkowo - europejskiego.

Przychodzą do Lwowa:

Z Krakowa: **2.31***, **1.30**, **8.40***. 6.00, 8.50, 5.25, 9.50*.
Z Rzeszowa: 10.35.
Z Podwołoczysk (na dworzec główny): **2.30**, 7.20, 11.55, 5.30, 10.20*; na Podzamcze: **2.15**, 7.00, 11.34, 5.15, 10.02*.
Z Czerniowiec: **12.20***. **1.40**, 6.10, 5.45, 9.10*.
Z Kołomyi: 10.05.
Z Stanisławowa 8.05.
Z Rawy i Sokala: 7.50.
Z Jaworowa: 8.18, 4.32.
Z Sambora: 8.15, 1.50, 9.20*.
Z Ławocznego 7·29, 11·45, 10·50*.
Z Tuchli 3·45 (od 15/6 do 30/9).
Z Bełzca 5·00.

Odchodzą ze Lwowa:

Do Krakowa: **12.45***, **8.25**, **2.50**, 4.15*, 8.35, 6.35*, 11.00*
Do Rzeszowa: 4.10.
Do Podwołoczysk z dw. głów.: **2.00**, 6.30, 10·55, 9.00*, 11.05*; z Podzamcza: **2.13**, 6.48, 11.15, 9.28*, 11.24*.
Do Czerniowiec: **2.51***, **2.40**, 6.15, 9.20, 10.40*.
Do Stryja: 11.10*.
Do Rawy i Sokala: 7.30*.
Do Jaworowa: 6.55, 5.58.
Do Sambora: 9.00, 4.20, 10.55*.
Do Kołomyi i Żydaczowa: 5.50.
Do Przemyśla, Chyrowa: 10.05* (od 1/5 do 30/9).
Do Ławocznego 7.30, 2.55, 6.25*,
Do Bełzca 11.10.

Pociągi lokalne.

Przychodzą do Lwowa:

Z Brzuchowic: (od 14 maja do 10 września) 6.50, 7.50. 9.55, przedpołudniem, tylko w niedziele i rz. kat. święta, 1.46, po południu, tylko w niedzielę i rz. kat. święta 3.05, 4.16 5.00, 7.41*, 8 55* (od 14/5 10/9 włącznie).
Z Janowa: 8.18, 1.15, (od 1/5 do 30/9) 4.32, 8.45* (od 14/5 do 10/9) 9.25* (od 14/5 do 10/9 w niedziele i święta).
Ze Szczerca: 10.10* (od 1/6 do 10/9 w niedziele i święta)
Z Lubienia W.: 11.52* (od 14/5 do 10/9 w niedz. i święta)

Odchodzą ze Lwowa:

Do Brzuchowic: (od 14 maja do 10 września) 5.50*, 8.30, (tylko w niedziele i rz. kat. i święta); 12.30, popołudniu (tylko w niedziele i rz. kat. święta) 2.10, 3.20, 6.10; 7.30*, 7.55*.
Do Janowa: 6.55, 9.15, (od 1/5 do 30/9) 1.35 (od 14/5 do 10/9 w niedziele i rz. kat. święta), 3.08, (od 14 maja do 10 września) 5.56.
Do Szczerca: 1.55 (od 1/6 do 10/9 w niedzielę i święta).
Do Lubienia W.: 2.15 (od 14/5 do 10/9 w niedz. i święta).
Do Rawy Ruskiej 11·15* (każdej niedzieli).

Uwaga. Pociągi pośpieszne drukowane są literami tłustemi; pociągi nocne oznaczone są gwiazdką. Pora nocna liczy się od godz. 6 wieczór do 5 min. 59 rano.

2)

Prawdziwa miłość.

(Z francuskiego.)

(Ciąg dalszy.)

— Czyż mnie oczy nie mylą! — zawołał nagle do swojej towarzyszki — zdaje mi się, że spotykam Sénaca.

Dotknął laską pleców lokaja.

— Każ zawracać, podjedziecie do tego pana, który idzie pieszo po lewej stronie trotuaru.

— Sénac! — wykrzyknął schorowany młodzieniec, gdy ekwipaż zbliżył się do przechodnia.

Ten ostatni odwrócił się, zawahał przez chwilę, wreszcie odezwał się głosem dźwięcznym.

— Quilliane! Czy to być może? I cóż ty tu porabiasz, w Kairze?

I spostrzegłszy nagle, iż przyjaciel jego jest w towarzystwie damy, Albert de Sénac, zdjął kask z wyrazem zakłopotania, który ubawił widocznie margrabiego.

— Nie bój-że się — rzekł on po chwili — nie ożeniłem się od czasu, jakeśmy się nie widzieli, to jest od dwóch lat.

Albert stał wciąż z kaskiem w ręku, nie objaśniony tem odezwaniem.

— Panie de Sénac — mówił wesoło Quilliane — nie sądź, iż wykradłem tę młodą osobę z rodzicielskiego domu. Zapominasz, że mam siostrę.

— Panna de Quilliane raczy mi darować — rzekł przechodzień, kłaniając się nisko — lecz nosi na twarzy gęściejszą zasłonę, niż muzułmanki. Zresztą sądziłem... zdawało mi się...

— Zdawało ci się, że siostra moja jest zakonnicą. Otóż, jak widzisz, rzuciła w kąt habit.

— Ależ Krzysiu! — przerwała młoda osoba z widocznem niezadowoleniem.

— Myślałby kto, że ją oskarżam o zbrodnię— odparł Quilliane marszcząc brwi. — Żartuję, mój drogi. Habit jeszcze nie uszyty, lecz jest w robocie.

— I włosy jeszcze nie obcięte, dzięki Bogu! — dodał Sénac, spoglądając z zachwytem na przepyszne złote warkocze. — Brata pani znam od lat dziecinnych — rzekł, zwracając się do panienki — dwa lata, jak go nie widziałem. Lecz nic się nie zmienił. Rzadko bywa poważnym.

— Znajdujesz, żem się nie zmienił? — zapytał Quilliane z goryczą. — I czegóż ci jeszcze więcej potrzeba, do kata! No, siadaj na przedzie. Ja, od pewnego czasu jestem w takim stanie zdrowia, że mam wszelkie prawo do miejsc wygodnych. A teraz, opowiedz nam twoje przygody i staraj się rozśmieszyć moją siostrę, która nie śmieje się wcale od czasu jak jesteśmy w Egipcie. Przedewszystkiem gdzieś zdobył to indyjskie przybranie głowy?

— W Indyach mój drogi, ni mniej ni więcej. Obecnie powracam do Francyi.

— Ależ nie dziś wieczór?

— Oniemal. Okręt, na którym jadę, przybył wczoraj do Suezu. Pod pretekstem nieistniejącej cholery skazano nas na trzydniową kwarantannę. Liczę dwa dni na przepłynięcie kanału, jeden na przybycie do Aleksandryi... Suma sumarum, statek mój może się bezemnie obejść do środy. Przed chwilą przyjechałem tu koleją żelazną na śniadanie.

— A kwarantanna?

— Przecież to tylko kwestya opłaty pieniężnej, jak zresztą wszystko na Wschodzie. Umknąłem dziś w nocy na czółnie naszego dozorcy. Nie zadenuncyuj ani jego, ani mnie, mój drogi. Dla uniknięcia więzienia musiałbym zapłacić nowe bakszysze.

— Nie spodziewałeś się zapewne ujrzeć nas tutaj?

— Miałeś tego dowód oczywisty. Zjadłszy śniadanie u Shepherda, wyszedłem z hotelu z rękami w kieszeniach. Szedłem bezmyślnie za tłumem i jak się okazuje, dobrze trafiłem. Teraz na ciebie kolej opowiadania. Słucham.

— Ja — odparł Quilliane — szedłem za... przepisem lekarskim.

Przy tych słowach młoda osoba odwróciła głowę.

Krzysztof, wskazując ją okiem przyjacielowi, ciągnął dalej na weselszą nutę:

— Zresztą pragnąłem już oddawna przepędzić zimę w Egipcie.

— Czyżbyś nie wiedział już, co robić z czasem w Paryżu, ty, który dawniej tak po mistrzowsku umiałeś go trwonić?

— W ciągu dwóch lat, jakeśmy się nie widzieli — mówił Krzysztof, udając, że słów tych nie słyszy — spotkało mnie wielkie nieszczęście: straciłem matkę.

— Byłem jeszcze podówczas we Francyi... ale... ale daleko od Paryża.

— Tak, wiem. Twój list kondolencyjny przybył z gór Ardèches — rzekł Quilliane z tajemniczym uśmiechem.

Albert nie był wcale usposobiony do żartów. Krzysztof spoważniał także.

— W liście twoim — ciągnął dalej — pisałeś mi, jak dziś pamiętam: „pozostaje ci miłość siostrzana.“ Otóż nie, mój drogi, nie pozostaje mi nic zgoła. Nie wiesz zapewne o istnieniu przezacnej i świętej pani de Chavorney, przełożonej zakonu Bernardynek. W mądrości swej osądziła ona, że siostra moja stworzona jest do klasztoru. A ponieważ jako ciotka miała głos decydujący w kapitule, przewróciła więc w głowie tej biednej dziewczynie, która obecnie nie marzy już o niczem innem, jak o szkaplerzach i włosiennicach. Mówiłem ci już przed chwilą: jest to tylko kwestya czasu.

Głosem bardzo łagodnym, lecz stanowczym, młoda dziewczyna odparła:

— Jakże jesteś niesprawiedliwym, Krzysiu! Czyż nie znajduję się u twego boku? Jak tylko okazało się, że będę ci potrzebną, przyjechałam z tobą do Egiptu. Towarzyszyłabym ci na koniec świata. Więc czemu powiadasz, że nic ci już nie pozostaje? Jest to okrucieństwem i fałszem!

Panna de Quilliane i siedzący naprzeciwko niej młody człowiek zamienili spojrzenie. W oczach Sénaca przebijało współczucie. Ujął ją tem odrazu. Była mile zdziwiona, iż ten światowiec, przyjaciel jej brata, nie oświadcza się przeciwko niej.

— Całe szczęście — mówił Quilliane przez zaciśnięte zęby — całe szczęście, że usługi twoje potrzebne mi są w tym roku, a nie w przyszłym, musiałbym bowiem poprzestać na nowennach, odmawianych za mnie poza kratą. Lecz daruj mi, mój kochany, że cię nudzę temi skargami. Widzisz tylko, co z człowieka robi choroba!

— Czy czujesz się lepiej, odkąd jesteś w Kairze? — zapytał Sénac.

— W każdym razie nie dosyć lepiej, aby opłacił się kłopot, jaki sprawiłam tylu ludziom: służącym, damie do towarzystwa, nie mówiąc już o nieszczęśliwej istocie, którą tu widzisz, a którą zanudzam na śmierć. No, bądź-że szczera, Tereniu.

— Nie słuchaj pan oszczerstw mojego brata— odezwała się młoda osoba z udaną wesołością— od czasu, jak żyję, nie nudziłam się ani jednej chwili, a tembardziej nie mogłabym się nudzić w Egipcie wśród tylu rzeczy pięknych, wspaniałych. Żałuję pana istotnie, że jesteś tu tylko w przelocie. Czy nie mógłbyś pan zatrzymać się dłużej?

— Niestety, nie zależy to odemnie. Zamierzałem przepędzić zimę w Indyach, lecz akcyonaryusze pewnej kompanii, której jestem administratorem zadecydowali inaczej. Kompania bankrutuje. Twierdzą, że gdybym był na posterunku, katastrofa nie miałaby miejsca, co jest pochlebnem dla mnie złudzeniem...

— I żądają od ciebie pieniędzy — dokończył, ożywiając się Quilliane.

— Istotnie oszacowują moją część odpowiedzialności na sto tysięcy franków.

— Ho! to zbyt skromna sumka! W interesie twoim wolałbym, żeby żądano sto razy więcej. Miałem przyjaciół, którzy w wypadku podobnym skazani zostali na zapłatę nie wiem już wielu milionów. Nie spłacili, ma się rozumieć, ani centyma i pomimo to zażywają świętego spokoju. Z gołego nic nie ściągniesz.

— I ja także mam nadzieję wyjść obronną ręką, jak tamci, w inny jednak sposób, a mianowicie, wygrywając proces. Ma on się toczyć w przyszym tygodniu. Przybędę w samą porę, jeśli *notabene* nie będę tracił czasu po drodze.

Słońce skryło się za drzewa, okalające przeciwległy brzeg wyspy.

— Zawracaj do domu — rozkazał Quilliane woźnicy.

W pięć minut potem ekwipaż przebył most na Nilu i pędził po wspaniałej dzielnicy Ismail, wśród podwójnego rzędu pałaców i ogrodów.

W drodze Albert przypomniał pannie de Quilliane, iż widywał ją w domu jej matki, gdy była jeszcze podlotkiem.

— Pamiętam pana — mówiła Teresa — brat mój kochał cię bardzo!

(Ciąg dalszy nastąpi).

ś. † p.

Dr. Mieczysław Madeyski

sekretarz Prokuratoryi Skarbu

po długich a ciężkich cierpieniach, zaopatrzony św. Sakramentami, przeniósł się do wieczności dnia 5 sierpnia 1905 r. przeżywszy lat 38.

W smutku pogrążona żona z rodziną, zapraszają krewnych, przyjaciół i znajomych na obrzęd pogrzebowy, który odbędzie się w poniedziałek dnia 7. sierpnia b. r. o godz. 6-ej po południu z domu żałoby ul. Kochanowskiego l. 30 A na cmentarz Łyczakowski.

Lwów, dnia 6. sierpnia 1905.

„CONCORDIA“ A. Kurkowski, Lwów, ul. Sobieskiego l. 10.

ś. † p.

Kazimierz Szczepański

doktor wszech nauk lekarskich

po długich a ciężkich cierpieniach, zaopatrzony św. Sakramentami, zmarł dnia 5 sierpnia 1905 roku, w 82. roku życia.

Obrzęd pogrzebowy odbędzie się dnia 8-go sierpnia 1905 roku, o godzinie 5-tej po południu z domu żałoby przy ul. Pańskiej l. 17 na cmentarz Łyczakowski, na który stroskana żona wraz z dziećmi i matką zmarłego — krewnych, kolegów, znajomych i pobożnych chrześcian zapraszają.

Lwów, dnia 6 sierpnia 1905.

„CONCORDIA“ A. Kurkowski ul. Sobieskiego l. 10.

Drobne ogłoszenia.



Redaktor odpowiedzialny. Wacław Masłowski
Papier z fabryki Braci Fiałkowskich.
Z drukarni E. Wini